MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 48 WARSZAWA, 22 LISTOPADA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

PIENIĄDZ I KREDYT

ZAGADNIENIE pieniądza przedstawia się dziś inaczej, niż w w. XIX i początkach w. XX. Wtedy upowszechniła się waluta złota; krążyły swobodnie banknoty, wymienialne na złoto. Ten kruszec był walutą międzynarodową. Po wojnie nie powiodła się próba powrotu do złotej waluty, przeprowadzona w latach 1924—1929, w niektórych krajach przy pomocy kapitału międzynarodowego (pożyczki stabilizacyjne). Dzisiaj niema w Europie kraju, któryby wymieniał banknoty na złoto na podstawie prawnie określonego kursu. Zamiast pieniądza międzynarodowego (złota), mamy poszczególne państwowe systemy pieniężne. Nawet państwa, które najmocniej podkreślają potrzebę międzynarodowego współdziałania monetarnego, jak Wielka Brytania i Stany Zjedn. Am. Półn., zachowują sobie swobodę w „manipulowaniu" walutą.

Czy wobec tego pieniądz zmienił swe dawne przeznaczenie, a ma sprawować nowe funkcje? Czy przestał być miernikiem wartości, a stał się sposobem ożywienia obrotów międzynarodowych, źródłem nowego kapitału, narzędziem redukowania ciężaru długów? Żyjemy w czasach załamywania się systemów pieniężnych, ich chaosu, któremu odpowiada chaos pojęć o zadaniach pieniądza. Dłużnik oczekuje od zmian walutowych ulgi w ciężarze swych długów; przemysłowiec liczy na to, że spadek wartości krajowego pieniądza zmniejszy jego koszty produkcji, a przyniesie mu większe zyski z wywozu towarów zagranicę; ktoś inny znowu chce uruchamiać wielkie roboty publiczne przy pomocy *ad hoc* stworzonego pieniądza. Ale porozumiejmy się. Jeżeli wogóle ma istnieć pieniądz, to musi pełnić właściwą swoją funkcję; musi być miernikiem wartości.

Gospodarstwo nie może się rozwijać w normalnem tempie, jeżeli nie posługuje się względnie stałą miarą wartości. Miarę można raz zmienić; przejść z jednego systemu na inny. Ale nie można tej miary zmieniać zależnie od okoliczności, zrobić jakiejś miary ruchomej, bo to jest *contra dictio in adiecto.*

I tak w pewnych okolicznościach można np. przeprowadzić dewaluację pieniądza, by wyrównać poziom cen wewnętrznych z poziomem zewnętrznym, czy też dla innego powodu. Ale odrazu trzeba dbać o stałość kursu nowego pieniądza. Stabilizacja jest koniecznością, choćby się nie przeprowadzało odrazu prawnej stabilizacji. Pieniądz o niestałym kursie, w szczególności o zmiennej sile nabywczej wewnętrznej jest czemś zabójczem szczególnie dla naszego gospodarstwa, a to z następujących powodów.

Po pierwsze naturalnem następstwem wahań pieniądza jest tezauryzacja obcych środków płatniczych, w szczególności złota. U nas istnieje wielkie ubóstwo kapitału; brak naszemu gospodarstwu środków obrotowych. W tych warunkach ucieczka od pieniądza paraliżuje w zarodku prawdziwe ożywienie gospodarcze.

Po drugie niestałość pieniądza wywołuje rozrost działań spekulacyjnych, zamiast rozszerzać produktywne zatrudnienie kapitału. Spekuluje się ziemią, domami, placami budowlanemi; spekuluje dłużnik, który nie chce spłacać długu, licząc na nową dewaluację; spekuluje kupiec, który nabywa i przetrzymuje towar w nadziei zwyżki ceny. Rozwój ducha spekulacyjnego podkopuje moralne podstawy gospodarstwa.

Po trzecie w Polsce, gdzie kapitał przemysłowy (w formie akcyj) jest w zastoju, a kapitał gromadzi się głównie w postaci wkładów oszczędnościowych, proces nagromadzenia się nowych oszczędności ulegnie zachwianiu, o ile pieniądz będzie podlegał wahaniom. Wahania te uderzają przedewszystkiem w tak zw. „ludowe" oszczędności.

Po czwarte wahania kursowe wychodzą na korzyść żywiołowi żydowskiemu, który panując na giełdach pieniężnych, umie najlepiej wyzyskać te

wahania. Żydzi nie od dzisiaj i nie od setek lat umieli żyć ze spekulacji pieniężnej. Bardzo kiepskim jest ten antysemitą, kto propaguje pieniądz o zmiennym kursie, lub też uważa stały pieniądz za wymysł żydowski.

Ale co to jest stały pieniądz? Niema pieniądza absolutnie stałego; chodzi o to, by wartość pieniądza ulegała stosunkowo najmniejszym wahaniom. Trudno dzisiaj o tem myśleć, by można było zabezpieczyć stałość pieniądza przez jego swobodną wymienialność na złoto. Nie stosują tego inne kraje, którym łatwiej niż nam, o ten kruszec.

W czasach dawniejszych wymienialność na złoto nie przedstawiała żadnego niebezpieczeństwa, a nawet dawała dwie korzyści dla tego, że jeżeli z powodu żywej wymiany złoto odpływało z kraju i tworzył się obieg banknotów, to wówczas spadały ceny. Spadek cen pobudzał eksport, dzięki czemu znowu przypływało złoto i wracała równowaga obiegu pieniężnego. Ale dzisiaj niema swobodnej wymiany w handlu międzynarodowym. Cena towaru nie rozstrzyga bezwzględnie o rozmiarach wywozu i przywozu, wahania obiegu pieniężnego nie mają dawnego wpływu na bilans handlowy.

Nie rozstrzyga tu takie lub inne pokrycie złotem obiegu banknotów. Zasada pokrycia obiegu w określonym stosunku procentowym była aktualna wówczas, gdy banknoty były wyłącznym lub niemal wyłącznym środkiem płatniczym. Przy nagromadzeniu się różnych innych środków płatniczych, zastosowaniu obrotu bezgotówkowego, dawne normy pokrycia straciły swoją aktualność. Banknot może mieć bardzo wysokie pokrycie złotem, a jego kurs może się załamać ze względu choćby na deficyt bilansu handlowego, wycofywanie kredytów zagranicznych, ucieczkę od pieniądza i t. d.

Opanowanie wahań kursowych pieniądza zależy od całej gospodarczej i finansowej polityki państwa. Trzeba uregulować podaż pieniądza i popyt na niego. A więc przedewszystkiem nie dopuszczać do nadmiernego popytu na obce środki płatnicze. W pewnych warunkach reglamentacja dewizowa staje się koniecznością. U nas bodaj że wprowadzono ją za późno, gdy już zbyt wiele złota i dewiz odpłynęło z Polski. Ale ta reglamentacja nie może prowadzić do istnienia dwuch kursów pieniądza: oficjalnego i pokątnego. Bo wtedy nie osiąga swego celu, tezauryzacja i spekulacja monetarna zaczynają kwitnąć w najlepsze. Reglamentacja może ograniczyć zbędne wyjazdy zagranicę, odpływ kapitału, emigrację, wycofującą kapitał, ale nie powinna krępować normalnych stosunków gospodarczych.

Jednakże błędnie się przypuszcza, że ograniczenia dewizowe mogą wydatnie zmniejszyć zapotrzebowanie obcych środków płatniczych, a w szczególności uczynić zbędnem gromadzenie złota przez bank emisyjny. Jeżeli się przytacza przykład niemiecki i wskazuje na minimalny zapas złota i dewiz w Banku Rzeszy, to trzeba zauważyć, że to chyba nie jest cały zapas obcych środków płatniczych, którym rozporządzało i rozporządza gospodarstwo Niemiec. By panować nad kursem pieniądza, przeciwdziałać panikom, trzeba mieć potrzebne do tego zasoby; trzeba mieć płynne rezerwy, które rzuca się na rynek, gdy na nim toczy się bitwa o stałość pieniądza.

Potrzeby gromadzenia zapasu złota lekceważyć w każdym razie nie można z punktu widzenia narodowego. Kto ma dobro narodu na oku, nie może zapominać o wojnie. A gdy wybuchnie wojna, trzeba mieć za co kupować u obcych potrzebny materiał wojenny. Wtedy trudno organizować handel kompensacyjny—trzeba płacić złotem lub tem, co można odrazu wymienić na złoto. Idea złotego skarbu nie straciła w dzisiejszych czasach swej aktualności. I z tego właśnie punktu widzenia posiadanie złota nie jest marnotrawstwem.

Niezależnie od sprawy pokrycia obiegu, poważny zasób złota i dewiz działa dodatnio na psychikę społeczeństwa, zmniejsza popyt na obce środki płatnicze. Ale by utrzymać stały kurs pieniądza, trzeba pozatem ograniczać jego podaż. I tu zjawia się kategoryczny nakaz, by pieniądz pozostał tem, czem powinien być, to znaczy środkiem wymiany i miernikiem wartości, a nie stał się źródłem nowego kapitału, względnie źródłem dochodu skarbowego. Jeżeli ktoś narzeka, że jest mało pieniędzy, że obieg nie jest dostateczny, to w rzeczywistości brakuje nie środków obiegowych, lecz kapitału obrotowego. Niepodobna pomnażać tego kapitału tą drogą, że się drukuje pieniądze. Wtedy zjawia się inflacja, która na razie przynosi ulgę zadłużonym gospodarstwom, ułatwia wywóz, podnieca nawet produkcję, ale niszczy podstawy gospodarstwa narodowego, a przedewszystkiem podkopuje byt najszerszych warstw narodu, żyjących z pracy najemnej, i drobnych kapitałów.

Zjawia się wielu reformatorów walutowych, którzy proponują pomnożenie pieniądza przez oparcie go na hipotekach, na pracy i tym podobne rodzaje „pokrycia". Historia zna zbyt wiele przykładów tej zamaskowanej inflacji, by można było wkraczać na tę drogę. Dla niektórych reformatorów ewentualna dewaluacja jest źródłem uruchomienia nowego zasobu pieniężnego; gdy obniży się wartość pieniądza w złocie, powiększa się o odpowiednią sumę zdolność emisyjna banku.

Ale postawmy konkretnie to zagadnienie: Jeżeliby obniżyło się u nas wartość złotego o parę dziesiątków procentu, czy można wiele na tem zarobić, z uwagi na mały rzeczywisty zapas złota i dewiz? Zrobiły tak niektóre kraje, jak np. Belgia z okazji przeprowadzonej dewaluacji, przeznaczając dodatkową emisję na roboty publiczne. Ale ten dodatkowy zapas nie stanowił wiele w porównaniu z dotychczasowym obiegiem banknotów. W żadnym kraju dotychczas dewaluacja nie doprowadziła do wydatniego zwiększenia obiegu. Nigdzie nie ma (pomijamy Rosję sowiecką) inflacji; może dopiero będzie inflacja w niektórych krajach. Nie zapominajmy o tem, że w Polsce, skromny nasz zapas złota zabezpiecza nietylko obieg banknotów, lecz faktycznie również i obieg bilonu, który wynosi prawie połowę całego tamtego obiegu.

Próba wyjścia z trudności gospodarczych, która zasadza się na tem, by z pieniądza zrobić wielkie źródło ożywienia gospodarczego, jest wyrazem psychozy, poszukującej cudownego a bezbolesnego lekarstwa na ciężką chorobę. Ustrój pieniężny jest wypadkową całego położenia gospodarczego, wyrazem całej polityki gospodarczej i finansowej państwa; jest raczej skutkiem, a nie

przyczyną. Jeżeli ktoś chce poświęcić stałość pieniądza na ołtarzu ożywienia gospodarczego, wyzbywa się ostatnich atutów. Mogą zajść okoliczności, w których nawet druk pieniędzy papierowych stanie się nieunikniony. Wystarczy przypomnieć wojnę. Ale właśnie stałość pieniądza jest niejako rezerwą, niewyzyskaną jeszcze, na przypadek wojny.

Kapitału nie pomnoży się przez pomysły walutowe. Kapitał powstanie przez oszczędność. Tej prawdy nie zdołały obalić żadne wstrząśnienia gospodarcze ani też rzekome bankructwa ekonomii. Także i w Rosji sowieckiej cały ustrój gospodarczy opiera się na oszczędności, w tym przypadku oszczędności przymusowej. Zaoszczędzony kapitał w pewnej tylko części napływa bezpośrednio do produkcji, w innej zaś za pośrednictwem kredytu. Rozwój operacji kredytowych jest możliwy przy odpowiednim stanie pieniądza. Polityka kredytowa łączy się ściśle z polityką pieniężną.

W polityce kredytowej należy wysunąć na czoło zasadę, że kredyt powinien być tylko produkcyjnym kredytem. To znaczy, powinien obracać się na kapitał, który służy do dalszej produkcji, a nie na cele konsumpcyjne. Jeżeli jedni oszczędzają, a drudzy, zaciągają pożyczki, przejadają zaoszczędzone przez innych pieniądze, niema z tego pożytku, następuje tylko zmiana w rozdziale dochodu społecznego.

Postulat, by nie zaciągać pożyczek na cele konsumcyjne, odnosi się najpierw do prywatnych jednostek. Ale nie można się tu ograniczyć do propagandy przezorności i gospodarności. Państwo przez swoje ustawodawstwo kredytowe, może przeciwdziałać kredytowi konsumpcyjnemu, np. przez ograniczenie egzekucji na płacach, przez tępienie lichwy, ograniczenie sprzedaży na raty. Czy nie warto np. wrócić do zasady z przed wieków, że długi, zaciągnięte u karczmarza na trunki, są niezaskarżalne? Faworyzowanie operacyj kredytowych, dokonywanych przez instytucje kredytowe, a ograniczenie t. zw. kredytu niezorganizowanego również wiedzie do tego celu.

Ale przedewszystkiem państwo powinno dawać dobry przykład. Niechaj samo nie zadłuża się na cele deficytu budżetowego, jawnego lub ukrytego, niechaj nie zaciąga pożyczek na pseudo-inwestycje, które się nie opłacają, a wtedy gromadzące się kapitały znajdą produktywne przeznaczenie. Gdy kapitału jest mało, gdy jego brak paraliżuje produkcję, także i państwo ma obowiązek nie pożyczać na cele konsumpcyjne. Najlepiej jest, gdy państwo i samorządy jak najmniej pożyczają; państwo, jako dłużnik jest groźnym, bo uprzywilejowanym współzawodnikiem prywatnego gospodarstwa.

O ile nie będzie kredytu na cele konsumpcyjne, będzie słabsza pogoń za pieniądzem i stopa procentowa będzie umiarkowana. A postulat taniości kredytu jest istotny dla naszego gospodarstwa. Wysoki procent podnosi koszty produkcji, niszczy korzyści, które nasze gospodarstwo może osiągnąć ze stosunkowo niższych kosztów robocizny. Procent od pożyczek, zaciąganych na cele produktywne, nie może być z natury swej wysoki; dłużnik liczy się z kosztami produkcji, z jej opłacalnością. W normalnych warunkach nie zgodzi się na płacenie wysokiego procentu. Ale kto pożycza na cele konsumpcyjne, na życie nad stan, nie pyta o procent; nie pyta również o procent ten, kto musi się zadłużać, pod grozą egzekucji, na podatki; i państwo nie skąpi różnych korzyści wierzycielom, byle wydobyć pieniądze.

Oczywiście ustawodawstwo musi tępić lichwę pieniężną. Jednakże normowanie stopy procentowej przez państwo ma swoje granice. Łatwo może doprowadzić do dwuch rodzajów kredytu: kredytu uprzywilejowanego, opartego o bank emisyjny czy kredytowe instytucje państwowe, i kredytu zwyczajnego, na bez porównania wyższy procent. W prawidłowo funkcjonującem gospodarstwie jest zasadniczo jedna stopa procentowa; może się ona wahać zależnie od terminu udzielonej pożyczki; może zawierać w sobie większą lub mniejszą premię za ryzyko, ale trudno wyobrazić sobie, na dłuższą metę, funkcjonowanie dwuch systemów kredytowych, uprzywilejowanego przez niski procent i nie uprzywilejowanego.

Niska stopa procentowa nie tamuje bynajmniej wzrostu oszczędności, jak to udowadniają doświadczenia wielu krajów. Państwo powinno jednak czuwać także i nad interesem wierzyciela. Niechaj ma mały procent, byle pewny. Dla tego też z największą ostrożnością powinno brać się do przymusowego uregulowania prawno-prywatnych umów między wierzycielem a dłużnikiem. Zaszły okoliczności, jak wzrost siły nabywczej pieniądza, które wywołały konieczność ingerencji państwa. Ale tych różnych operacyj nie można przeprowadzać na raty, utrzymywać stosunków kredytowych w stanie ciągłej niepewności. Chaos prawny w tej dziedzinie faworyzuje nieszczęśliwych czy lekkomyślnych dłużników i podcina podstawy kredytu.

Do obowiązków państwa należy także opieka nad ludowemi oszczędnościami. Ale nie w tem znaczeniu, by obdarzać nadmiernymi przywilejami biernego kapitalistę, który dzisiaj może ulokować bez pracy swój kapitał na zgórą 10 procent, korzystając z wszelkich wolności podatkowych, gdy producent, ponoszący wielkie ryzyka i trudy produkcji, nie osiąga tego dochodu nawet w drobnej części. By zabezpieczyć dopływ kapitału i znaleźć źródła kredytu, trzeba stworzyć warunki rentowności produkcji. Sztuczna hodowla biernych kapitalistów nie zda się na wiele.

Polityka kredytowa powinna przywrócić wstrząśniętą równowagę między różnymi rodzajami kredytu. Jego etatyzacja hamuje normalny obieg operacyj kredytowych. Pieniądze wydobywane przez różne kasy oszczędności, powinny zasilać głównie miejscową produkcję, średnią i drobną. Dla tego też należy umożliwić rozwój spółdzielni kredytowych; kasy komunalne powinny służyć potrzebom swoich środowisk, przerost działalności P. K. O., która zewsząd wydobywa drobne oszczędności, a nie może ich doprowadzić z powrotem tam, skąd je wzięła, nie jest wskazany. P. K. O. koncentruje swą działalność w udzielaniu kredytu państwu, a to ma swoje strony ujemne.

Każda gałąź wytwórczości powinna mieć właściwe sobie źródła kredytu. Handel towarowy zasila się normal-

nie kredytem wekslowym, opartym o bank emisyjny; ten bank i zwyczajne banki akcyjne zaopatrują przedsiębiorstwa w kapitał obrotowy. Nie jest rzeczą prawidłową, gdy ten bank dostarcza kredytu przedsiębiorstwom i monopolom państwowym, uszczuplając swe zasoby, przeznaczone do zwyczajnego życia gospodarczego. Wielki przemysł nie może czerpać kredytu długoterminowego z publicznych instytucyj kredytowych; normalnem źródłem kapitału dla niego są e m i s j e a k c y j. Odbudowa rynku akcyjnego, związana oczywiście z tem, że akcje przynoszą dywidendę akcjonariuszom, jest koniecznym warunkiem ożywienia gospodarczego.

Budownictwo mieszkaniowe, wogóle własność nieruchoma, ma swe normalne źródło kredytu: d ł u g o t e r m i n o w y k r e d y t h i p o t e c z n y. Ale nie jest obowiązkiem państwa dostarczać tego kredytu ze swych zasobów finansowych, zdobywanych nawet w drodze obciążeń podatkowych. Państwo powinno tworzyć warunki pod rozwój lokat długoterminowych; jest to możliwe wówczas, gdy kapitalizacja jest dostateczna, gdy wolna stopa procentowa jest umiarkowana. W Polsce nie ma jeszcze regularnego popytu na listy zastawne i obligacje; trzeba wrócić do tego, co dawniej było, by towarzystwa kredytowe, miejskie i ziemskie nie potrzebowały kołatać do publicznych instytucyj o lokatę swych papierów.

Państwo pozostanie nadal, czy to dzięki centralnej instytucji oszczędnościowej, czy też przez zakłady ubezpieczeń społecznych (nie wspominając już o bankach państwowych), wielkim dysponentem kredytu. Nie może go dysponować przedewszystkiem—dla siebie; nie może w jego udzielaniu kierować się względami partyjno-politycznemi, bo to prowadzi do demoralizacji społeczeństwa i nieobliczalnych strat finansowych. Ale t e n k a p i t a ł p o w i n n o o b r ó c i ć n a c e l e z w i ą z a n e z e s p o ł e c z n ą p r z e b u d o w ą u s t r o j u; kolonizację wewnętrzną, reformę rolną, na zasilenie kapitałem wytwórczości średniej i drobnej. Dla przykładu wystarczy wymienić chrześcijańskie kasy bezprocentowe, które wszak wymagają już pewnych nakładów z budżetu państwa.

Osobnem zagadnieniem jest sprawa kredytu zagranicznego. Zajmiemy się nią, omawiając stosunek naszego gospodarstwa do świata.

ROMAN RYBARSKI

POCZĄTKI NOWOCZESNEGO OBOZU NARODOWEGO W POLSCE

(Dokończenie)

CZŁONKOWIE Związku Młodzieży Polskiej, w miarę jak kończyli studia i opuszczali szeregi studenckie, mieli rozpoczynać z reguły praktyczną działalność polityczną w duchu programu Ligi. Jednakże władze Ligi nie uważały za celowe przyjmować wszystkich na członków nowej organizacji, nie wszyscy bowiem temperamentami i zdolnościami kwalifikowali się na konspiracyjnych działaczy politycznych. Nielicznych, będących jeszcze studentami i członkami Związku Młodzieży, przyjmowano do Ligi, ażeby sobie ułatwić prowadzenie organizacji Młodzieży. Związek był organizacją formalnie zależną od Ligi, jednak szybko zaczęły się ujawniać niezadowolenia z niej i z jej komisarza, bywającego na zebraniach „braci", mało mającego talentu, żeby sobie nakazać posłuch u młodzieży. Stał się on przedmiotem coraz mniej niewinnych drwin, w których, prym trzymali „bracia" — żydzi. Wreszcie stosunki się tak zaostrzyły, że ci „bracia", którzy zachowywali się lojalnie względem Ligi i dbali o jej powagę, zaczęli się obawiać, iż dojdzie do wyraźnej walki między Związkiem a Ligą.

Wtedy Dmowski ostrzegł Ligę o niebezpieczeństwie i zaproponował, ażeby sama ona stosunek formalny ze Związkiem zniosła. Władze Ligi uznały wniosek jego za słuszny. Odbyło się posiedzenie „braci" grupy warszawskiej, w której już wtedy mieściła się Centralizacja, czyli naczelne władze Związku, na którem specjalnie wydelegowany Komisarz Ligi odczytał akt, zwalniający Związek Młodzieży Polskiej z formalnej zależności od Ligi Polskiej, tem samem uznający całkowitą samodzielność jego organizacji. Wywołał on ogólną radość, a ze strony głównych przeciwników Ligi triumf nad „lojalistami". Ci przeciwnicy uważali, że odnieśli zwycięstwo głównie nad Dmowskim, który, słuchając aktu odczytywanego przez Komisarza Ligi, jedyny w zgromadzeniu wiedział, że jest od początku do końca tego aktu autorem.

Akt ten rozwiązywał ręce przedewszystkiem Lidze w stosunku do członków Związku, opuszczających jego szeregi: jednych pozwalał przyjmować do Ligi, dla innych tworzyć organizacje podrzędne, innych wreszcie pozostawić całkiem na boku.

Od tego czasu Związek tracił stopniowo znaczenie i podupadał. Jednocześnie zaczęły powstawać inne, mniejsze organizacje młodzieży, służące przeważnie partiom socjalistycznym — Nie znaczy to, ażeby Związek był od wpływów socjalistycznych całkiem wolny. Jednakże jego mocniejsi narodowo wychowańcy nie przestali nadal zasilać szeregów Ligi. Ci wespół z dawniejszymi stworzyli główny zastęp członków Ligi, przedewszystkiem w zaborze rosyjskim. Tu stworzono dla szerszej masy byłych związkowców organizację tajną, jakkolwiek oddającą się pracy raczej kultutalnej, p. n. „Łączność".

Jak powiedzieliśmy, w „Związku" — wytworzyła się przepaść między młodzieżą narodową a socjalistyczną, aczkolwiek pewne wzajemne oddziaływanie nadal istniało. Rozwinęło się współzawodnictwo, walka o dusze młodzieży. W walce tej socjaliści wygrywali urok bohaterstwa swoich współwyznawców (rewolucjonistów rosyjskich); narodowcy polscy nie mieli w tym względzie nic do przeciwstawienia. Szukając pola do wykazania swej odwagi, zorganizowali oni wielką manifestację uliczną w Warszawie, w r. 1891, w setną rocznicę Trzeciego Maja. Rozpowszechniono odezwy, wybito medale pamiątkowe, wreszcie w dzień rocznicy zorganizowano pochód od szczątków kaplicy w Ogrodzie Botanicznym do Kościoła Katedralnego.

Mówiąc nawiasem, to pierwsze od roku 63-go wystąpienie publiczne narodowców mogło

przy metodach rządu rosyjskiego drogo kosztować. Nikt w owej chwili nie wiedział, że rosyjski minister skarbu negocjował wówczas wielką pożyczkę zagraniczną i oświadczył na Komitecie Ministrów, że za jej powodzenie nie bierze odpowiedzialności, jeżeli w Warszawie w dniu 3 maja krew się poleje. Surowy tedy jenerał-gubernator Królestwa, Hurko, otrzymał wskazania z Petersburga, żeby uspokoił Warszawę bez przelewu krwi. Tak się też stało: szef policji warszawskiej jenerał Kleigels przemówił do manifestantów raz w Botanicznym Ogrodzie, drugi raz na Placu Zamkowym, wbrew zwyczajowi rosyjskiemu bardzo łagodnie i grzecznie, namawiając ich do rozejścia się, gdy zaś wielotysięczny tłum, zaczął z Placu Zamkowego się rozpraszać, wypuszczono na miasto konnych kozaków z nahajkami, by przyśpieszyć rozpraszanie się tłumu. Gdy zaś część jego cofnęła się do Ogrodu Saskiego, ogród zamknięto i znajdujących się w nim manifestantów, głównie studentów, wyaresztowano. Po tem, względnie pacyfistycznem, zakończeniu manifestacji, żandarmeria (policja polityczna w Rosji) rozpoczęła długie surowe śledztwo w celu wykrycia organizatorów sprawy, w którem pomagała jej i policja krakowska ze słynnym komisarzem Kostrzewskim na czele. Wynikiem tego śledztwa było skazanie „z rozkazu Najwyższego" szeregu ludzi na lata pobytu w Rosji pod dozorem policyjnym za „sprawę przestępstw politycznych z powodu rocznicy polskiej konstytucji 3 maja 1791 r.". Ten wyrok zapadł dopiero w początku listopada 1893 r. Za karę zaliczono im czas, spędzony pod śledztwem w Cytadeli warszawskiej.

W owym czasie, rozwinęło się wśród licznych już młodych członków Ligi, niezadowolenie a nieznanego im osobiście Komitetu Centralnego Ligi Polskiej na zabór rosyjski. Zarzucano mu bezczynność, brak kontaktu z pracą członków organizacji i nierozumienie ich dążeń. W pierwszych dniach stycznia r. 1893, opuścił Cytadelę Dmowski, który przebywał w niej za sprawę „3 maja" i zamieszkał w Warszawie w oczekiwaniu wyroku. Zajął się on natychmiast uzdrowieniem stosunków wewnętrznych w Lidze Polskiej, wespół z Popławskim, Balickim, Hłaską, Wasilewskim, Kamińskim, Jabłonowskim, Raczkowskim, Rutkowskim i innymi. Wskazując, że Liga, postawiwszy na czele swego programu zdobycie niepodległości Polski, wobec nierealności powstania zbrojnego, ma za zadanie— rozwinięcie pracy i systematycznej walki politycznej, zbliżającej naród do tego celu, postawili oni zarzut władzom Ligi, że żadnej inicjatywy w tym kierunku nie podejmują. Wobec tego uważają oni za konieczną reformę organizacji i proponują ażeby Komitet Centralny zwołał zebranie wspólne z przedstawicielami organizacji w kraju, na którem oni swoje projekty w tym względzie przedstawią. Gdy po upływie paru miesięcy Komitet na ich propozycję nie zareagował, zawiadomili go, że sami wyznaczają zebranie na kwiecień (1893) i zaprosili, żeby na to zebranie przybył. Gdy Komitet znów nie odpowiedział, zebrali się w oznaczonym terminie i uznali swe zebranie w nieobecności Komitetu Centralnego za prawomocne.

Na zebraniu kwietniowem, uchwalono reformę organizacji, wybrano nowy Komitet Centralny, jako władzę naczelną z pośród siebie, i żeby się wyraźnie odciąć od przeszłości organizacyjnej przemianowano ją na Ligę Narodową. Liga Narodowa otrzymała nowy program i zaczęła przedewszystkiem od pracy organizacyjnej.

Postanowiono rozwiązać podrzędną organizację „Łączność" i wprowadzić czynniejszych jej członków do „Ligi". Ze wszystkimi członkami „Ligi" i z nowowprowadzonymi członkami z „Łączności", Dmowski z każdym zosobna rozmówił się w ciągu kilku miesięcy osobiście, wyjaśniając im istotę reformy i zadanie nowej organizacji. Robotę tę zdołał prawie ukończyć, gdy otrzymał wyrok w sprawie „3 maja" i musiał opuścić Warszawę. Osiadł w Mitawie, żeby mieć blisko do Warszawy, z którą postanowił utrzymywać stałe stosunki. Skazany był na trzy lata wygnania z Polski, wiedząc wszakże że rząd poszczególnym ludziom ten termin przedłuża, po piętnastu miesiącach wyemigrował do Lwowa w celu wydawania tam organu Ligi dla trzech zaborców (Przegląd Wszechpolski), którego plan w Mitawie sobie obmyślił i uzyskał w Warszawie zgodę nań Komitetu Centralnego.

Tak powstała nowa organizacja Ligi Narodowej, złożona z nowych w głównej swej masie, młodych ludzi, otrzymała ona swój organ „Przegląd wszechpolski", rozpowszechniany we wszystkich trzech dzielnicach oraz na emigracji europejskiej i amerykańskiej. Do zaboru rosyjskiego dochodził on, ma się rozumieć, drogą zorganizowanej w du żych ilościach, stałej kontrabandy.

Dawna Liga Polska przestała istnieć. Komitet centralny na zabór austryjacki zawiadomił centralizację w Szwajcarii, że żadnej działalności nie zdołał rozwinąć i podał się do dymisji. Wobec tego i Centralizacja się rozwiązała. Dopiero Dmowski w r. 1895 odwiedził Miłkowskiego i innych członków dawnej Ligi Polskiej na emigracji i przyjął ich do Ligi Narodowej, formując z nich grupę emigracyjną. Jednocześnie Balicki takąż grupę sformował w Stanach Zjednoczonych. Główną pracą pierwszej z tych grup było utworzenie Komisji, zarządzającej Skarbem Narodowym, który Polacy w Ameryce głównie zasilali. Część procentów Skarbu, Komisja postanowiła przeznaczać na pracę Ligi Narodowej w kraju.

Ważnym momentem w życiu Ligi N. był zjazd jej członków w Budapeszcie w r. 1896. Postanowiono tam centralizację Ligi przenieść z Warszawy do Krakowa. Weszli do niej wtedy: Dmowski, Balicki, Popławski, Teofil Waligórski, Karol Raczkowski. Komitet Centralny w tym składzie działał szereg lat. Akcja polityczna w całym kraju znacznie się pogłębiła i rozszerzyła przez powstanie w najbliższych latach stronnictwa Dem.-Narodowego w zaborze rosyjskim, a od r. 1903 w Galicji.

Dalsze dzieje obozu narodowego, a w szczególności Ligi Narodowej, rola „Przeglądu Wszechpolskiego", jego wpływ na młodzież i rozrost organizacji, wytworzenie we wszystkich trzech zaborach stronnictwa demokratyczno-narodowego (dziś: narodowego), jego walk i jego zdobyczy, w końcu odbudowanie polskiego — nie należy już do tego szkicu.

W tak skróconym szkicu niepodobna wymienić wszystkich wybitniejszych działaczy Ligi, którzy bądź w prasie Obozu, bądź w organizacji ruchu politycznego brali udział. Wspomnę o takich skupieniach prasowych, jak początkowo „Głos" (1887-1899), „Przegląd Wszechpolski", „Polak", „Ojczyzna", „Zorza", gdzie pracowali, oprócz Popławskikgo, Dmowskiego i Balickiego, — Józef Hłasko, W. Jabłonowski, Z. Wasilewski, M. Brze-

ziński, K. Łazarewicz, St. Kozicki, B. Wasiutyński, P. Panek, J. Załuska, Z. Makowiecki i in. I tu wspominam tylko o osobistościach z zaboru rosyjskiego. Z pośród innych działaczy Ligi upamiętnili się: Józef Kamiński, Zb. Paderewski, A. Troczewski, dr. Psarski, J. Harusewcz, S. Surzycki, L. Rutkowski, B. Hirszfeld, B. Jakimiak, W. Łapiński, A. Rząd, M. Bojanowski, M. Kiniorski, W. Męczkowski, St. Bukowiecki i tylu innych...

Nie wzmiankowałem dotąd o masonerii, o której działaniach pionierzy nowoczesnego obozu narodowego nic w początkach nie wiedzieli, aczkolwiek już w tych początkach odgrywała ona pewną rolę, usiłując, jak się w następstwie okazało, rozpoczynający się nowy ruch polski, dla siebie zużytkować. Dopiero postawienie Ligi Narodowej na miejsce Ligi Polskiej i rozpoczęcie w „Przeglądzie Wszechpolskim" jawnej walki o zasady odebrało jej nadzieje w tym względzie. Rozwinęła się wtedy zawzięta walka masonerii przeciw Obozowi Narodowemu, w której główną bronią jest kłamstwo i fałszerstwo.

SENIOR

Przypisek redakcji. Za jeden z etapów tej walki należy uważać zapowiedziany na dni najbliższe zjazd dawnych Związków młodzieży „niepodległościowej", zwrócony, jak świadczy odezwa, przeciwko obozowi narodowemu. Ubolewać należy z powodu przeinaczania i wciągania do roboty politycznej tradycyj, doniedawna tak drogich dla wielu osobistości, pod tą odezwą podpisanych.

Poważne przyczynki do dziejów „Zetu" znajdzie czytelnik w pracy ś. p. Stefana Surzyckiego, ogłoszonej w „Myśli Narodowej" w r. 1930 nr. 42, 43, 44. To samo w broszurze (Kraków 1930). Poza tem istnieje broszura Tomasza Ruśkiewicza p. t. „Tajny Związek młodzieży polskiej w latach 1887—1893". Warsz. 1926. Str. 47. Wreszcie d-ra Jana Offenberga „Stan umysłów młodzieży akad. Uniw. Warsz. w latach 1885—1890". Warsz. 1929.

Przy sposobności prostujemy błąd druku: w n-rze poprzednim w 2 szp. na str. 2 w. 22 od dołu poprawić trzeba datę 1900 na 1890.

SPRAWA RUSKA NA ZIEMI CZERWIEŃSKIEJ

III JAK POWSTAŁA KWESTJA RUSKA NA ZIEMI CZERWIEŃSKIEJ?

NA pytanie powyższe musimy dać jasną i wyraźną odpowiedź, ponieważ niektórzy historycy ruscy z Michałem Hruszewskim na czele, skonstruowali swoistą historię Ukrainy, zupełnie różniącą się nie tylko od badań historyków polskich i innych historyków europejskich, ale także od najdawniejszego i całkiem wiarygodnego źródła ruskiego, od pierwszej kroniki (latopisu) ruskiej, pochodzącej od niejakiego Nestora, podobno mnicha, żyjącego w pierwszej połowie 12. wieku. Ta rozbieżność faktów i poglądów historycznych odgrywa w sprawie ruskiej niezmiernie ważną rolę, albowiem wedle owych historyków ruskich Ziemia Czerwieńska rzekomo już od przedhistorycznych czasów była we władaniu narodu ukraińskiego, a Polska opanowała ją krwią i żelazem i przez cały ciąg dziejów przynosiła jej tylko ucisk, grabieże i niedolę. Wychowywanie młodego pokolenia Rusinów w takich pojęciach musiało i musi nadal napawać młodzież ruską niechęcią, a nawet wstrętem, do Polski i Polaków, jakich uczuć żywymi jesteśmy świadkami.

Otóż Hruszewski twierdzi, że naród małoruski (ukraiński) jako odrębny od narodu rosyjskiego i białoruskiego, istniał już w IV-stuleciu po Chrystusie, a państwo Kijowskie było wyłącznym tworem narodu ukraińskiego. Wedle świadectw historycznych i kroniki Nestora w owych czasach nie było jeszcze żadnego narodu słowiańskiego, a plemiona wschodnie słowiańskie nie miały wspólnej nazwy i zostały opanowane przemocą przez szczep wikingów Warego-Rusów, od którego dopiero otrzymały nazwę Rusów, Rusinów. W owym czasie ziemia, nazwana przez Nestora, „grodami czerwieńskimi" była pod panowaniem Lachów, czyli Polski, a niezawodnie zamieszkałą była taże przez plemię polskie. Także Polacy nie mieli wówczas nazwy wspólnej, lecz nazywali się Wiślanami, Ślązanami, Lachami, Chrobatami, od położenia swoich siedzib lub od wodzów plemienia. Latopis Nestora pod r. 981 opiewa: „*ide Wołodymir k. Lachom i zaja grady ich Peremyszl, Czerwien i iny grady, iże sut i do sego dne po Rusju*". Wedle historyka St. Zakrzewskiego jest to informacja klasyczna i nie pozwala na żadną wątpliwość naukową, a tem bardziej polityczną, co do przeszłości Ziemi Czerwieńskiej. Ziemia ta sięgała na północy poza dzisiejsze granice t. zw. Wschodniej Małopolski, ponieważ gród Czerwień leżał na Wołyniu. Najazd Włodzimierza na tę ziemię otworzył szereg zaciętych walk między Polską a książętami ruskimi o ten kraj, który później w czasie podziałów Polski na dzielnice pozostawał również pod władzą rozmaitych książąt ruskich. Za księcia Daniły doszło do przejściowego połączenia księstwa halickiego z księstwem włodzimierskiem w jedno królestwo pod zwierzchnictwem Tatarów. Żywą była jednak tradycja przynależności tej ziemi do Polski i po wymarciu dynastji książąt ruskich w r. 1325 sami Rusini powołali na tron księcia polskiego Bolesława, który przyjął ruskie imie Jerzego. Po jego zgonie w r. 1340 król polski Kazimierz Wielki jako „pan i dziedzic" w porozumieniu z królem węgierskim, jako pretendentem do tego spadku, zajął tę ziemię, założył nowe miasto Lwów obok starego grodu księcia Lwa na prawie magdeburskim, a ostatecznie po jego śmierci i po umorzeniu pretensyj węgierskich, od r. 1387 cała Ruś Czerwona znalazła się w spokojnem i bezpiecznem posiadaniu Polski. Na powitanie Królowej Jadwigi wyszli do Jarosławia bojarowie, biskupi ruscy i inni przedstawiciele ludności, aby jej złożyć hołd i uroczyste ślubowanie, że „ta ziemia od korony polskiej nigdy odłączoną i nigdy pod władzę innego księcia oddaną nie będzie". Do odzyskania tej ziemi przywiązywał Władysław Łokietek i Kazimierz W. tak doniosłe znaczenie, że dla jej utrzymania przebolełi utratę tak cennych ziem na zachodzie, jak Śląsk i Pomorze. Jakoż Kazimierz W. i Jagiellonowie zajęli się gorliwie odbudową tej ziemi po wyparciu tatarów, odworzyli ją dla kolonizacji ze Wschodem i Zachodem, zakładali miasta i obdarzali je licznymi przywilejami. Niezawodnie w tym czasie ziemia ta na swych południowych i północnych przestrzeniach nabrała pod względem

języka, ludności, charakteru kraju ruskiego, tam bowiem na opustoszałych siedzibach osiedlała się ludność wołoska z południa i ruska ze wschodu wskutek wyludnienia kraju przez Tatarów, pragnąc korzystać z bezpieczeństwa i pieczołowitości polskich monarchów. Dawniejszym pisarzom ruskim, sławiącym rządy książąt ruskich w przeciwieńswie do stosunków polskich odpowiedział już trafnie Józef Szujski w książce niemieckiej o „Polakach i Rusinach" w r. 1882: „Cokolwiek noworuski szowinizm wymarzyć może o świetności Ziemi Czerwieńskiej za Daniły i Lwa, faktem pozostanie niezbitym, że Polska przyniosła krajowi jęczącemu pod tatarskiem jarzmem błogosławieństwo cywilizacji, że nikt nie myślał o uciskaniu Rusinów i ich języka w owym czasie, gdy kraj urodzajny i leżący przeważnie odłogiem znajdował się na tak niskim stopniu kultury, iż dla zaspokojenia potrzeby rąk roboczych korzystano chętnie z każdego robotnika bez względu na narodowość, byle go mieć".

Prawdą jest, że w okresie panowania w Polsce oligarchii szlacheckiej przyszły ciężkie czasy na włościan w całej Polsce wskutek pańszczyzny, poddaństwa, a w wielu miejscowościach także samowoli szlacheckiej. Ale ten ucisk i nadużycia nie miały charakteru narodowego, były ogólnem nieszczęściem, jakie spadło na lud polski i na państwo polskie. Jakoż bunt Chmielnickiego i wojna kozacka były głównie zwrócone przeciw możnym panom polskim i wcale nie dotyczyły Ziemi Czerwieńskiej. Lud ruski na tej ziemi cierpiał od napadów kozackich i tatarskich tak samo jak lud polski, o przyłączeniu się do najezdników nie myślał, a Lwów i Zamość wytrzymały srogie oblężenia w obronie Rzeczypospolitej i całego ludu tej ziemi.

Społeczeństwo ruskie na Ziemi Czerwieńskiej przeniknięte było na równi z polskiem wiernością dla idei państwowej polskiej tak silnie, że po włączeniu Galicji do Austrii nie udało się Niemcom przez kilkadziesiąt lat obudzić w kraju ruchu narodowego ruskiego przeciwko Polakom pomimo usiłowań, jakie w tym kierunku czynił cesarz Józef II i namiestnicy carscy. Przeciwnie w ruchach narodowych polskich brali udział także inteligentni Rusini, podówczas jeszcze bardzo nieliczni, głównie klerycy i duchowni greko-katolicy,

W literackim ruchu romantycznym, jaki w pierwszej połowie 19-go wieku pojawił się w Galicji Wschodniej, wzięli udział Polacy i Rusini, zbierając pieśni ludowe i dumki ruskie, które wydał w r. 1833 Wacław z Oleska. Młodzież polska i ruska uczestniczyła wspólnie w spiskach i w powstaniu polskiem w r. 1830. Marian Szaszkiewicz i Michał Wagilewicz, którzy w r. 1837 zaczeli wydawać „Rusałkę Dnistrową", stali na stanowisku narodowem polskiem tak samo, jak wybitny poeta ruski. Tymko Paczura, a później Platon Kostecki. Nie mieli Rusini wówczas jeszcze ustalonej nazwy i o nią się nie troszczyli, ponieważ język swój uważali za narzecze języka polskiego, tak samo jak narzecze mazurskie w Galicji Zachodniej. Dopiero przełom w stosunku Rusinów i Polaków dokonany w. r. 1848 przyniósł Rusinom osobną specjalną nazwę „*Ruthenen*", ogłoszoną rozporządzeniem arc. Ferdynanda z r. 1849 na prośbę metropolity ks. Lewickiego. Przedtem nazywano Rusinów galicyjskich słowiańskimi katolikami, a także Ruśniakami i t. p.

Jeszcze rok 1846 okazał, że rządowi austriackiemu nie udało się pozyskać ogółu duchowieństwa ruskiego i ludu ruskiego przeciwko polskiej idei niepodległościowej i przeciw narodowi polskiemu. Gdy pod zaborem pruskim i austriackim przygotowywał się ruch zbrojny o przywrócenie niepodległej Polski, udało się rządowi austriackiemu podburzyć raczej „cesarskich" chłopów w kilku powiatach Zachodniej Galicji przeciw „buntującym się" Polakom, niż w Galicji Wschodniej. Gdy tam szalała rzeź panów i chłopi tłumami otrzymywali judaszowe srebrniki od głowy, to tutaj ruch był nieznaczny, a rzeź na wielką skalę urządzono tylko w jednej miejscowości, w Horożanie, dokonaną przez chłopów podburzonych przez wójta i księdza gr. katolickiego Horodyskiego.

Punktem zwrotnym w sprawie ruskiej na naszej ziemi stał się dopiero rok 1848, rok „wiosny narodów" i pierwszego ruchu konstytucyjnego w Austrii. W tym roku dopiero powiodło się rządowi austriackiemu pozyskać garść wyższego duchowieństwa ruskiego, grupującą się około cerkwi św. Jura we Lwowie, do jawnego i nienawistnego przeciwstawienia się idei niepodległościowej polskiej i stanowisku Polaków w Austrii, w zamian za obietnicę wyrugowania Polaków z Galicji Wschodniej na rzecz wiernej partii świętojurskiej, jako „Tyrolczyków Wschodu".

(D. n.) STANISŁAW GŁĄBIŃSKI

ŻYWY GŁOS

W DAWNYCH szkołach jezuickich najwyższa klasa zwała się „retoryką"; jakkolwiek dużo można zarzucić tym szkołom oraz ich metodom, w każdym razie sama zasada kształcenia młodego ucznia w wymowie i zaprawiania go do gładkiego przemawiania publicznego niewątpliwie złą nie była. Zasada ta—w formie ulepszonej oczywiście—żyła nadal w szkołach Komisji Edukacyjnej czy w Liceum Krzemienieckiem. Szkoły zaborcze, rzecz prosta, nie dbały o to, by w uczniach-Polakach rozwijać zdolności krasomówcze i kształcić wzorową dykcję polszczyzny. Jedynie scena polska była szkołą dobrej wymowy i zadanie to swoje spełniała często zaszczytnie.

Po szkole zaborczej odziedziczyła powojenna szkoła polska ową bolesną niedbałość w dziedzinie mowy ojczystej. Do tego stanu rzeczy przyczyniła się też osławiona metoda, rzekomo „heurystyczna", polegająca na tem, że nauczyciel zasypywał uczniów tysiącem drobiazgowych pytań, na które oni odpowiadać mogli tylko półsłówkami. Dochodziło do tego, że w niektórych szkołach wręcz z a b r a n i a n o uczniom dawać odpowiedzi dłuższe; nie uprawiano czytania głośnego w klasie pod kontrolą nauczyciela, nakazywano tylko przygotowywanie utworów „w domu", co wobec nieporadności uczniów często wychodziło na jedno z koniecznością używania przez nich różnych „skrótów", „oślobryków" i innych *ersatz*'ów lek-

tury, zazwyczaj fabrykowanych przez żydostwo. Na deklamację utworów poetyckich czy urywków prozy najczęściej „nie było czasu", a raczej celowo nie uprawiano jej wcale, gdyż tępe doktrynerstwo potępiało wszelką naukę „pamięciową", jako rzekomo zdrożną i wadliwą... Ostateczny wynik był taki, że kierowany w ten sposób uczeń umiał na pamięć tysiące banalnych, płytkich i w złej polszczyźnie skleconych frazesów z broszurek „profesora" Weinera, „profesora" Zatorskiego, „profesora" Bodeka, „profesora" Blaustocka i innych podobnych wielkich „literatów", natomiast nie potrafił przytoczyć z pamięci ani jednego wiersza Kochanowskiego, Krasickiego, Mickiewicza, Słowackiego, Kasprowicza, ani jednego zdania z pism Skargi, Modrzewskiego, Staszica, Mochnackiego, Szczepanowskiego... Skutek był i ten, że psuć się zaczął zarówno styl wypracowań młodzieży, pozbawiony dobrych wzorów, jak i dykcja jej przemówień.

Dawno już próbowano temu złu zaradzić. Pierwsi uczynili to dawni nauczyciele prywatnych szkół polskich w b. Kongresówce, czujni stróżowie czystości polszczyzny i jej piękna. Na konieczność kształcenia dykcji uczniów zwracał uwagę ś. p. Lucjusz Komarnicki; drugi niestrudzony pionier muzycznego piękna mowy ojczystej, Kazimierz Wójcicki, nie przestawał przypominać nauczycielom i uczniom o obowiązku pięknej deklamacji utworów, znajdował też na tem polu czynnego sojusznika w osobie zasłużonego nestora pedagogów-polonistów, Kazimierza Króla; wrzszcie Konrad Chmielewski śmiałym artykułem rozciął—zdawałoby się—prostą kwestię, domagając się, by nauczyciel w y k ł a d a ł pięknie i zajmująco, by zarówno dobrym stylem, jak i dobrą dykcją swego wykładu dawał wzór młodym. *Voce patria fortiter!*—nawoływał jednocześnie w swej pięknej i mądrej książce „Około kultu mowy ojczystej" złotousty o. Jacek Woroniecki, członek zakonu kaznodziejskiego, omawiając kwestię nauczania i stosowania polszczyzny w szkole i w sferze wiedzy.

Zaczęła się więc coraz to gorliwsza i coraz bardziej systematyczna praca nad poprawą wymowy polskiej. Nad zagadnieniem *de emendandis eloquentiae vitiis* radzić poczęły niemal wszystkie powołane do tego czynniki: pedagogowie, językoznawcy, artyści sceniczni, kaznodzieje. Przed kilkoma laty językoznawcy wraz z artystami scenicznymi opracowali wspólny projekt wzorowego wymawiania głosek i wyrazów. Scena dała z siebie przykład najlepszy, skoro wyzbyła się już owych tak modnych po wojnie szeptów, seplenienia i prędkiego mówienia i raduje nasz słuch naprawdę staranną, melodyjnie brzmiącą polszczyzną. Nie nadążyło za sceną jeszcze radio, ale widoczna jest już tendencja ku dobremu. Daleko jeszcze do doskonałości naszemu kaznodziejstwu kościelnemu—zwłaszcza po wsiach — ale i tu poprawa coraz to większa ujawnia się z każdym rokiem, zwłaszcza dzięki umiejętnie prowadzonym kursom kaznodziejskim.

Podobne przeszkolenie w mówieniu przydałoby się w niejednym jeszcze zawodzie. Ale najbardziej byłoby one zapewne potrzebne tym, którzy mają wpływ największy na wymowę młodego pokolenia, a więc nauczycielom wszelkich szkół, a wreszcie — i bliższym opiekunom młodzieży, rodzinie.

Sprawą tą zajął się przed paroma laty wyborny pedagog i świetny językoznawca, prof. Zenon Klemensiewicz, wydając małą, ale bardzo pożyteczną, a przytem zajmująco napisaną książeczkę „Opieka rodziny nad mową dziecka" (nakład „Książnica-Atlas"), którą powinien przeczytać każdy, komu leży na sercu dobro i piękno mowy ojczystej. Ważne są w tej książeczce — warte głębokiej rozwagi powszechnej — stwierdzenia takie, że „świadoma dbałość o poprawność i sprawność, a cóż dopiero o piękno wysłowienia, jest zjawiskiem rzadszem, niżby się pragnęło dla dobra kultury narodowej", albo takie: „zaiste, zatrważająco mało ludzi umie czytać!" Autor przejęty słuszną zasadą, że „dobre mówienie nie jest zadaniem szkolnem ani przedmiotem z którego zdaje się egzamin, ale obowiązkiem powszechnym i powszednim" daje szereg mądrych rad, skutecznych sposobów zapobiegania tym wadom i coraz to większego kształcenia „wymowności" młodzieży.

Jeżeli ta książeczka miała na widoku młodzież, to kształceniu wymowy u starszych poświęcony jest, wydany świeżo podręcznik „Zarys nauki żywego słowa", opracowany wspólnie przez trzech autorów: Bronisława Wieczorkiewicza, Henryka Szletyńskiego i Jana Kochanowicza (wydanie „Naszej Księgarni", Warszawa). Pierwszy z autorów jest językoznawcą i specjalistą w fonetyce (uczeń Tytusa Benniego), dwaj drudzy aktorami i specjalistami w zakresie dykcji oraz teorii sztuki teatru.

Wieczorkiewicz dał przystępną definicję „języka kulturalnego" i dialektów, poczem określił normy wymowy poprawnej. Po przejrzystym przeglądzie narządów mowy i podziału głosek podał garść wiadomości ortofonicznych: o wymowie dawnych „samogłosek pochylonych", o brzmieniu spółgłosek *l* i *ł*, *ch* i *h* etc. —wszędzie wskazując wymowę poprawną lub dopuszczalną, przestrzegając zaś przed rażącemi deformacjami. Na przykładach objaśnił sprawę t. zw. fonetyki międzywyrazowej, stanowiącej jedną z zasadniczych różnic dialektycznych między Wielkopolską i Małopolską z jednej strony, a Mazowszem z drugiej. Bardzo pożyteczny jest dodany do tej części słownik ortofoniczny.

Dwie dalsze części książki poświęcone są technice dykcji i wygłaszaniu utworów. Autorzy wyróżniają w swym przedmiocie cztery momenty: 1) fizyczny (słyszalność, wyraźność, wyrazistość), 2) intelektualny (zgodność dźwiękowej formy z treścią), 3) estetyczno-formalny (rozróżnianie stylu utworu), 4) etyczny, ujawniający się w tem, że „pielęgnowanie i rozwijanie należytej poprawności mowy ojczystej nie jest czczym wymysłem purystów, ale o b o w i ą z k i e m".

Po tym wstępie dzielą się obaj swym przedmiotem. Szletyński zajmuje się momentem pierwszym i czwartym, Kochanowicz drugim i trzecim. Najpierw tedy czytamy bardzo cenne wskazania co do kształcenia dykcji i osiągania sprawności technicznej. Jest to jakby gimnastyka narządów głosowych, a jednocześnie propedeutyka dobrego mówienia.

W części trzeciej już sprawny technik przeobraża się zwolna w artystę, który rozumie nietylko logiczny podział zdań i formalno-dźwiękową ich zawartość, ale też czuje ich melodię, chwyta należyte tempo, stara się być wirtuozem-współtwórcą dla poety, którego tekst deklamuje. Dobrze dobrane przykłady—poparte objaśnieniami—oddają wielką usługę czytającym. Z całości tej pożytecznej książki odnosi się wrażenie o słuszności przewagi, jaką dawał nasz Rej „żywemu głosowi" nad zdechłą skórą.

J. B—R

NA WIDOWNI

Jak zacząć? — Pierwszeństwo mają panie. — Cywilizacja nasza na nich stoi. — Typ „panienki ze dworu".— Co on wyraża. — Jak o tem pisał Słowacki.

W CHWILI kiedy zaczynam pisać to moje pierwsze „Na widowni" (a początki są zawsze trochę ciężkie) zastanawiam się co też najbardziej jest na tej widowni i o czem warto by pisać. Wydaje mi się, że dla czytelnika „Myśli", rzeczą najaktualniejszą w chwili gdy się zabiera do lektury jej nowego numeru — jest ów fakt, że pod tygodniową rubryką podpis się zmienił, i że fejleton zaczyna pisać ktoś inny.

Może więc byłaby pora na jakieś pewnego rodzaju *exposé* czy przedstawienie się czytelnikowi. Pochlebiam sobie jednak, że to nie bardzo potrzebne, bo te trzy roczniki „Myśli Narodowej", w których znajdują się moje artykuły ilustrują dostatecznie i bieg moich myśli i moje poglądy i mój sposób pisania. Z tej strony czytelnik zna mię chyba dosyć dobrze, a gdyby go jeszcze interesowały jakieś inne, bardziej osobiście dotyczące mnie szczegóły, to niech zrobi wywiad u moich i swoich znajomych, życzliwych i nieżyczliwych, a taka plotkarska ankieta napewno lepiej go poinformuje niż jakiekolwiek moje elaboraty. Pisanie o sobie jest rzeczą i niebezpieczną i djablo trudną.

Z powodzi tematów wybrać więc lepiej jakiś inny, a że chciałbym zawsze być wierny nawet w drobnostkach naszej cywilizacji i jej zwyczajom, a więc pierwszy fejleton należy się czytelniczkom.

Nie jest to bynajmniej akt jakiejś tylko kurtuazji, bo doprawdy nie wiem, czy same nasze panie zdają sobie dobrze sprawę do jakiego stopnia nasze społeczeństwo jako łacińskie i katolickie na nich stoi,—jak kardynalnie ważnym są one w nim czynnikiem. Wydaje mi się raczej, że przy całym swoim pędzie do równouprawnienia i zajęcia większych w społeczeństwie stanowisk, wagi tej swojej roli nie wyczuwają. A tymczasem bez przesady, w naszej cywilizacji mężczyzna wszystko tworzy tylko dla kobiety i przez kobietę. Jako matka, czy jako natchnienie snuje się ona przy nim zawsze i kieruje jego krokami. Ona uczy kochać wszelki abstrakt i otwiera drogę do ideału.

Inne cywilizacje tego nie mają i tak szczytnej roli kobieta tam w żadnej nie ma. Może więc sobie żyć zamknięta w haremach i być zwykłą, przeciętną kurką domową. Nasz świat wymaga od niej czegoś więcej i u nas jakie mamy kobiety, takie też i całe społeczeństwo.

Zawiązkiem bowiem wszelkiego społeczeństwa jest dom, a w naszym świecie panią tego domu jest kobieta. Dom rodzinny to pierwsza arena działania i wogóle szkoła wszelakiego działania. A w tym domu nad nieudolnemi jeszcze krokami czuwa i pierwszej pomocy udziela—tylko kobieta.

Dzieciństwo, oby zawsze „sielskie i anielskie" jest pod wyłączną jej władzą i każdy człowiek w swoim zaraniu przechodzi przez ten zarówno może dziecięcy, jak i dziewczęcy[1]) okres. Szkoła tego małego światka jest niezbędna do pójścia w duży świat i dziecinny pokój jest pierwszem uosobieniem ojczyzny dla przyszłego jej obywatela.

Ale rola i władza kobiet nie zamyka się tylko w dziecinnym pokoju. W domu jest jeszcze oprócz matki i żona. A żona to właśnie natchnienie; to w świecie, gdzie zasadniczo jest tylko jedna miłość i tylko jedna żona—cały sens poniekąd życia mężczyzny, — dla niej właściwie on działa. I średniowieczni rycerze w barwach swych dam szli zdobywać Grób Chrystusa. A wszystkie wielkie dzieła naszej cywilizacji powstawały zawsze za sprawą jakiejś „Pani Jasnej", mówiąc terminologią Ujejskiego. Ma więc kobieta nawet i bez równouprawnienia rolę wielką i odpowiedzialność wielką. Musi być zatem wierna tym typom, jakie jej nasza cywilizacja przekazała.

Typom, bo cywilizacja stojąc na tradycji, stoi na pewnych typach ideałów, które całemi wiekami urabia i do których, jako do wzorów dążyć winniśmy. Nasza polska kultura wykształciła taki swój typ, który obowiązywał całą kobiecą górę społeczną, a dla którego utarła się nazwa „panienki ze dworu".

Źle jest on dziś rozumiany i sens tej nazwy wyckliwiono i przesentymentalizowano. Pouczeni przez żydów istotę jej pojęcia zatraciliśmy i przeciętnie nie kojarzą się już nam z tą nazwą, te zalety jakie się kojarzyć powinny. Nie tak dawno rozmawiałem z panną, będącą właśnie całą swoją rasą, wyglądem i charakterem świetną, idealną wprost reprezentantką tego typu. Rozmowa skakała z tematu na temat, kręcąc się wciąż koło tego samego. Zgadało się też coś o długich włosach, czy paleniu papierosów i raptem usłyszałem niespodziewane oświadczenie: „Mam już dość tego swojego typu jakiejś prowincjonalnej gęsi". Bomba pękła. A więc najprawdziwszą, najtypowszą panienkę ze dworu, nie zamierzającą zresztą wcale sprzeniewierzyć się sobie, nauczono widzieć w tym typie tylko jakąś prowincjonalną gęś.

Cóż za ogromne nieporozumienie i cóż za obraza dla tych wszystkich Anielek (Prusa, czy „Bez Dogmatu"), Zoś („Pan Tadeusz") etc., tak entuzjastycznie opiewanych przez poetów. Przecież one jaknajdalsze chyba były od wszelkiej gęsiowatości i cały ten typ nie ma w sobie ani krzty ckliwości, bierności czy sentymentalizmu. Jest on prosty i to słowo może najlepiej go streszcza, — a prostotę swoją czerpie z wierności zasadom i z mocy charakteru.

Mówi się, że kobieta jest słaba. Ale właściwie to wolno jej być słabą tylko w drobnostkach,— i na porządku dziennym obserwujemy fakty, że gdy przychodzi do naprawdę trudnych sytuacyj, wtedy mężczyźni się chwieją i u kobiety szukają oparcia.

Czyż więc byłaby mocniejszą, skoro silny mężczyzna, przegrawszy bój, u niej szuka nowego źródła siły?... Bądź co bądź obserwując to zjawisko, możnaby postawić z całą stanowczością paradoks, że właśnie słabej kobiecie przenigdy załamać się nie godzi.

Zresztą jeśli to paradoks, to paradoks całego naszego życia. We dworach — może dlatego, że zdolniejsze jednostki szły szukać szczęścia w świecie — od lat kobiety okazywały się silniejsze. A nawet i chłopska Ślimakowa z „Placówki" prze-

[1]) Świetnie to uzmysławia stary słowiański obrzęd postrzyżyn, w którym chłopiec zostaje pasowany na mężczyznę i oddany mężczyznom. Przez pierwsze lata jest on właściwie poniekąd dziewczynką; żyje razem z kobietami i w ich kręgu wyobrażeń.

parła swoje, wbrew mężowi, to ona ocaliła ziemię. Więc może jednak wogóle „energia kobiet i męskie niedołęstwo"? Tak znowu nie, ale poprostu ponieważ kobieta jest natchnieniem, więc mężczyzna w tych chwilach, gdy się wszystko wali, kiedy nadchodzi decydująca walka — w niej szuka jeszcze jednego natchnienia:—siły.

Panienka ze dworu ma zwykle oczy niebieskie, takie jak na pastelaeh Wyspiańskiego i do tych oczu, tak typowych, przejrzystych a zmiennych w kolorycie napisał Słowacki wiersz. Szczęśliwa Lolka (Bobrówna) dostała do swego albumu całe *credo* polskiej kobiety, tak piękne i pełne, że zamiast wszelkich wywodów, warto je tu przytoczyć:

Gdy na ojczyznę spojrzą oczy Lolki.
Karmione złotem i tęczową czczością,
Niechajże spojrzą tak, jak oczy Polki:
Spokojnie—ale z ogniem i miłością.

Kiedy je patrzeć na smutek przymuszą
I na lud, który gdzieś w łańcuchach pędzą,
Niechaj te oczy łzami się zaprószą—
Lecz niech się nigdy nie zamkną przed nędzą!

Kiedy z tych oczu łez opadnie rosa,
A ludzie będą chciwie w nie patrzali,
Niech oczy całe pokażą niebiosa
Aż do błękitu dusz—i jeszcze dalej!

A kiedy przyjdą porwać naród z trumny
I rzucić w ogień tych, co skry się boją
Niech w oczach będą takie dwie kolumny,
Jak ognie, które na wulkanie stoją.

Wtenczas ja powiem, srodze rozkochany,
I nawet w rymy to zamknę królewskie—
Że, choć widziałem w oczach cztery zmiany,
Prawdziwie Lolka ma oczy niebieskie.

A więc niebieskie oczy mają w sobie wszystko—jak u Puszkina: *„i torżestwo i wdochnowienje i żiźń i sljoz i liubow"*.

KAROL STEFAN FRYCZ

Na schyłku roku, kiedy już wyczerpują się środki wydawnictwa, złożone przez prenumeratorów, których sumptem „MYŚL NARODOWA" jest wydawana, upraszamy odbiorców, zalegających w opłacie, aby rachunek wyrównali. Zarazem zwracamy się do przyjaciół, opłacających zwykle prenumeratę zawczasu, aby zechcieli już teraz nadesłać zaliczkę **na rok 1937.**

GŁOSY

SALENGRO UNIEWINNIONY... Trudno nie współczuć wielkiemu narodowi francuskiemu, gdy się obserwuje aferę, w jaką popadł — rząd „Frontu Ludowego". Głośno było jeszcze o ministrze Zey'u, żydzie, który sztandar Francji nazwał poprostu „Szmatą do...", dzisiaj mówi się głośno i z oburzeniem o ministrze spraw wewnętrznych blumowego gabinetu, merze miasta Lille, Salengro, któremu pod naciskiem opinji publicznej musiano wytoczyć dochodzenie. Bada się sprawę niebylejaką — czy Salengro był dezerterem czasu Wielkiej Wojny, czy nie. Jak wiadomo w październiku, roku 1915-go, w Szampanji, koło folwarku Navarin oskarżony poszedł zupełnie niespodziewanie ze zdumiewającym nakładem „szukać rannego kolegi", by samemu następnie przepaść bez wieści. W opinji kolegów z 233-go pułku piechoty czyn ten był niczym innym, jak tylko najzwyklejszą dezercją. To też sąd polowy skazać go miał zaocznie na karę śmierci, który to wyrok po wojnie za wstawiennictwem przyjaciół politycznych dzisiejszego mera, uchylono. Piszemy „m i a ł s k a z a ć", gdyż akta sprawy zaginęły. Śledztwo bada archiwa wojskowe — Salengro czekał na wynik z imponującym spokojem (którego mu tak brakowało na froncie...) i nadal sprawuje rządy, zmuszając tym samym oddziały bohaterskiej armii francuskiej w pewnych okolicznościach (uroczystości związane z życiem państwowym) defilować przed swoją „godną" osobą. Spokój ministra spraw wewnętrznych tłomaczą tym, że ministrem wojny jest p. Daladier... I rzeczywiście, przed paroma dniami rozegrał się pierwszy finał całej sprawy w parlamencie. Daladier bronił. Twierdził, że wyrok był, ale uniewinniający. Z pomocą pospieszył towarzysz — premier Leo Blum. Mówił, wśród ogromnej wrzawy, o rzekomej pomyłce urzędnika wojskowego który — bagatela! — zamiast „uniewinniony", napisał „skazany"...

Na interwencję inwalidy Valata domagającego się sądu honorowego dla zbadania sprawy, odpowiedziano, że wszystko zakończone. Izba poparła odpowiedź 427 głosami przeciw 103. „Cyklista" Salengro ma rządzić nadal. Pierwszy finał.

Wierzymy mocno, iż obecny stan, w jakim znajduje się Francja, jest stanem przejściowym, nie w kierunku (jak sądzą w Moskwie i Barcelonie) komunistycznym, ale zdecydowanie narodowym wypalającym gorącym żelazem miejsca schorzałe, ropne, takie jak w wypadku Salengra — cuchnące. Drugi wówczas nastąpi finał. Zupełnie ostateczny.

ZAPOWIEDZI

GRA się już rozpoczeła. Wielka gra. Po Hiszpanii teraz kolej na Francję. Manewry Bluma przygotowały grunt jaknajlepiej. Najpierw reformy społeczne, które załamały budżet, a potem strajki okupacyjne. Wytwarza się atmosfera niezadowolenia, podniecenia i — rozgardjaszu. Blum — emanacja Frontu Ludowego — wygłasza do robotników mowy o pokoju społecznym i — dewaluuje franka. A dewaluacja, zwłaszcza w tych warunkach, w jakich się obecnie Francja znajduje, to tylko dolanie oliwy do ognia.

Rodak Bluma, nieboszczyk Karol Marx, pisał mądre rzeczy o tem do czego prowadzi deprecjacja pieniądza. To też pan Blum kieruje grą zręcznie i zmierza do celu.

Rząd pana Bluma nie dopuszcza do zebrań, nawet zamkniętych, partii pułkownika de la Rocque'a, natomiast mityngi komunistyczne cieszą się zupełną swobodą, a nawet pieczołowicie ochrania je policja.

Cała prowincja francuska pokryta jest olbrzymią siecią agitacji komunistycznej. Fabryki, i wszelkie zakłady przemysłowe, kopalnie itp. zorganizowane są w tajne koła, w których instruktorzy odbywają z robotnikami ćwiczenia bronią. Socjaliści nie mają żadnego wpływu, zostali zdystansowani przez komunistów, którzy obiecują więcej. Ludzie, znający się na rzeczy, obliczają na parę set tysięcy osób liczbę agitatorów komunistycznych, grasujących po Francji.

Pewien Polak, który przebywa we Francji od lat dziesięciu i zjeździł ją wzdłuż i wszerz, stykał się ze wszystkiemi niemal sferami, a przedewszystkiem z robotnikami i chłopami, udzielił redakcji "Tęczy" sensacyjnych wprost wiadomości. „Przedewszystkiem chłop francuski — opowiada — który najboleśniej odczuwa na sobie kryzys współczesny i którego zeszłoroczne dekrety Lavala najwięcej dotknęły, rozżalony, ulega łatwo komunizmowi. W wielu departamentach agitacja komunistyczna wśród chłopów wydaje coraz lepsze wyniki. Departamenty: Oise, Seine-et-Oise, Somme, Pas-des Calais, Aisne, Marne, i Aube są już zupełnie skomunizowane. Z wybuchem wojny hiszpańskiej fala agitacji komunistycznej przeniosła się zaraz na południe Francji, gdzie rozpoczęła niesłychanie intensywną akcję wśród robotników pracujących w winnicach i wśród chłopów. Nie wiem, jak dzisiaj przedstawiają się wyniki tej akcji, ale w połowie sierpnia departamenty: Gironde, Lot-et-Garonne, Gers, Haute Garonne, Tarne-et-Gronne, Lot, Tarne, Herault, Gard i Du-Rhone — były poważnie już skomunizowane a w okolicy Tuluzy niemal wszyscy chłopi i robotnicy rolni byli czerwoni. Dziś przypuszczam, że to samo już jest we wszystkich departamentach południowych, ba, według ostatnich wiadomości, komuniści francuscy, licząc się z upadkiem Madrytu, zamierzają zsowietyzować całą południową Francję, ogłosić czerwoną mobilizację na całym brzegu śródziemno-morskim i pod Pirenejami aż do Bordeaux i zatoki Biskajskiej i w ten sposób przyjść z pomocą rozbitej armii hiszpańskiej. Wszystko już ma być—mówi informator „Tęczy" — przygotowane do przewrotu. Zdołano nawet pozyskać dla tego planu syndykat metalowców, jeden z najpewniejszych i najsilniejszych syndykatów, oraz centralę jaczejek komunistycznych francuskich dróg żelaznych (33, rue Grande aux Belles). Centrala ta zmobilizowała już 300 emerytowanych swoich członków — kolejarzy, których rozesłano po ważnych punktach strategicznych i węzłowych z poleceniem pozyskania dla zamierzonej akcji kolegów w służbie czynnej oraz zorganizowania i przygotowania na kolejach sabotażu".

A więc gra się już rozpoczęła. Z jednej strony po kraju coraz bardziej rozszerza się bolszewizm, który niemal jawnie przygotowuje się do przewrotu. Komuniści doznają przytem opieki władz, podczas gdy akcja antykomunistyczna rożnych ośrodków społecznych jest paraliżowana przez organa rządowe.

Wśród olbrzymiej, podobno paruset tysięcznej, sfory agitatorów komunistycznych, uwijającycych się po Francji, znajduje się także bardzo znaczna liczba ajentów niemieckich. A co gorzej, agitacja komunistyczna przedostaje się tu i ówdzie, i to co raz częściej, do armii francuskiej.

W Hiszpanii zaczęło się od zamordowania Sotella.

A oto żona jednego z członków partii pułk. de la Rocque'a wydrukowała w „Le Journal" list do prezydenta republiki w sprawie uprowadzenia jej męża, mieszkańca Soissons, przez komunistów, którzy napadli dom w nocy, oświadczając, że aresztują go z polecenia „sądu rewolucyjnego".

Obradujący w jednej z fabryk w Soissons „trybunał rewolucyjny" skazał „aresztowanego" na śmierć, cofnięto się jednak przed wykonaniem wyroku, zbito człowieka jednak do nieprzytomności tak, że zaniewidział na oczy. Napastnicy komunistyczni zostali aresztowani, lecz zwolniono ich wskutek interwnencji pana Salengro, ministra spraw wewnętrznych.

A kto jest zacz minister spraw wewnętrznych pana Bluma? Pan Salengro, mer miasta Lille, zarazem wielki bogacz, a także ogromny lewicowiec, kto wie — może kameralny komunista, został zaocznie skazany na karę śmierci za dezercję podczas wielkiej wojny. Doniosła o tem gazeta paryska „L'Action Française". Kapitan Arnould, przełożony żołnierza Salengro w czasie wielkiej wojny, a obecnego ministra, ogłosił w tygodniku paryskim „Gringoire" list, w którym zarzuca, że Salengro, przekradał się do okopów niemieckich, a „nazajutrz o świcie najważniejsze posterunki francuskie zostały zbombardowane przez ciężką artylerię niemiecką".

Takie oto zarzuty stawiają publicznie oficerowie z czasów wielkiej wojny panu Salengro, aktualnie ministrowi spraw wewnętrznych, który czułą opieką otacza komunistów, i to wtedy, kiedy Francja jest niemal na wulkanie.

Od pewnego czasu drożyzna we Francji się wzmagała, dewaluacja franka dokonana przez Bluma, drożyznę tę podnieca jeszcze więcej, niezadowolenie mas wzrasta i jeszcze wzrośnie. Na te momenty psychologiczne czekają komuniści.

We Francji wymieniało się nawet ścisły termin: 17 albo 23 października roku bieżącego, na który to dzień „Komintern" wyznaczył wybuch przewrotu. Oczywiście, że z tego czy innego powodu dzień wybuchu może zawieść, ale że Francja jest na wulkanie, to pewna. Spostrzega to każdy obserwator życia francuskiego. Olbrzymi wzrost komunizmu francuskiego i jego aktywność, stanowisko rządu, będącego emanacją „Frontu Ludowego", a popierającego komunistów, dalej marazm klas średnich, bezwolność inteligencji, jej raczej ciekawość, wyglądająca owego społeczno-politycznego „spektaklu", pozatem niezadowolenie mas, płynące ze zwyżki cen; wszystko to sprzyja niezmiernie pogłębianiu się fermentu rewolucyjnego, który może wybuchnąć niespodzianie.

*

Pan Blum konferuje albo przemawia. Jego ministrowie działają.

Kiereński swego czasu też — w atmosferze dosyć podobnej — konferował i przemawiał.

Bieg wypadków zdmuchnął szybko Kiereńskiego z areny. Przyszedł Lenin i Trocki.

Jak to pisał Marx o 18-ym Brumaire'a Lucjana Bonaparte? — „Mając na widoku worki złota, burżuazja buntowała się przeciw własnym politykom i literatom, dziś politycy i literaci usunięci wprawdzie, ale worki burżuazji będą splądrowane, gęba zakneblowana, a pióro złamane".

Komunista Thorez czeka, patrząc jak mu oczyszcza pole socjalista Blum. A w chwili odpowiedniej, gdyby zawiodło wojsko, o—wtedy nietylko wyrżną burżujów, ale też wypuszczą kiszeczki i panu Blumowi.

— Przez pomyłkę, jak dodaje emigracyjny pisarz rosyjski Filosofof, a on już widział takie rzeczy.

W. Ad. Z.

Z DZIEJÓW WSI

JAK WIADOMO, walka partyzancka konfederatów barskich z wojskami rosyjskiemi prowadzona była na ziemiach polskich w latach 1768—1772 i nie było prawie w Polsce zakątka, gdzieby ta wojna nie toczyła się, znacząc swe ślady krwią i grabieżą moskiewską.

Wkońcu konfederacja, skompromitowana niefortunnem porwaniem króla Stanisława Poniatowskiego, została stłumiona przez wojska rosyjskie i królewskie, poczem w r. 1772 nastąpił pierwszy rozbiór Polski, a tę część Polski, która stanowiła wówczas zabór austrjacki, zajęły wojska austrjackie, wojska zaś rosyjskie, które niedawno walczyły z konfederatami na tym terenie, wycofały się z kraju przydzielonego Austrji.

Czy rzeczywiście tak było?

W archiwum djecezji przemyskiej znajduje się ciekawy dokument, złożony tam przez parafję w Nowosielcach (powiat przeworski), mianowicie protokuł zebrania gminnego w Nowosielcach z roku 1782, na którem radzono nad sposobem zapłacenia długu, zaciągniętego przed pięciu laty, t. j. w r. 1777 z kasy miejscowego proboszcza „na zapłacenie gwałtownej kontrybucji moskiewskiej" w kwocie zł. pol. 500.

Dług ten, jak stwierdza wymieniony protokuł, zaciągnęli: „wójt, podwójci, przysiężni i cała gromada", a zaciągnęli go w nagłej potrzebie, skoro nałożona na wieś kontrybucja była gwałtowna, t. zn. w tym czasie, gdy jakiś oddział rosyjski, maszerujący przez Nowosielce, uznał za stosowne ograbić w ten sposób włościan.

Wynikałoby stąd, że w pięć lat po przydzieleniu Austrji t. zw. Galicji, kwaterowały tam jeszcze wojska moskiewskie i prawdopodobnie nie bez zgody Austrji zasilały się kontrybucjami, w tak wysokich kwotach, nawet na włościan nakładanemi.

Oczywiście włościanom ciężko było spłacić te 500 zł. pol. W tej sprawie zebrała się w roku 1782 gromada. Rezultat tych narad zawarty jest w następującej uchwale:

„...uważając tedy stan nasz dzisiejszy całej gromady bardzo podupadły i podatkami skądinąd obciążony, wraz wszyscy i zosobna z nas każdy bez przymusu... za zezwoleniem dziedziców naszych J. O. Księdza, za zgodnym zezwoleniem dzisiejszego rządcy kościoła W. J. Mości Księdza Plebana... na złożenie nas zupełne z wyż pomienionego długu i wszelkiego ciężaru wypłacania prowizji, wydzielamy i zapisujemy do kościoła naszego z gruntów gromadzkich pastwisko, czyli łączkę pod tymże kościołem między obszarem dworskim i ogrodem plebańskim leżącą".

Pod protokułem tym, likwidującym ze stratą łączki dług, zaciągnięty na zapłacenie „gwałtownej kontrybucji moskiewskiej", podpisali się: Wawrzyniec Słysz — wójt prawny, Józef Cużytek — podwójci, Wojciech Dudek — przysiężny, Jan Cużytek — przysiężny, Marcin Paluch — przysiężny; niżej — ks. Józef Iwanicki. Z boku podpis: aprobuje ks. Lubomirska, kasztelanka krakowska.

Wymieniona łączka dotąd należy do kościoła w Nowosielcach i jako żywo — zdaje się — nie przedstawiała przed 153 laty wartości aż 500 zł. pol. Stąd dalszy wniosek, że ks. proboszcz Józef Iwanicki, chcąc w jakiś sposób najrychlej zlikwidować dług gromady, wziął *pro forma* łączkę, która w tem miejscu nie przedstawiała dla gminy większego znaczenia.

W ten sposób chłopi nowosielscy płacili koszta pierwszego rozbioru Polski. Byli inni, co na tym rozbiorze nieźle zarabiali.

Op.

NAUKA i LITERATURA

„PRZEROSTY ETATYZMU"

Dr. Tadeusz Bernadzikiewicz. „Przerosty etatyzmu. Uwagi o gospodarce państwowej w Polsce". Wydanie drugie, przejrzane i uzupełnione. Nakład: Towarzystwo Wydawnicze Młodych Prawników i Ekonomistów. Skład główny Gebethner i Wolff. S. 200. Cena zł. 4.—.

W TYCH dniach opuściło prasę drukarską drugie wydanie znanej książki dr. Tadeusza Bernadzikiewicza p.t. „Przerosty etatyzmu".

Pierwsze wydanie „Przerostów", które wyszły z druku w październiku 1935 r. w nakładzie około 2.500 egzemplarzy, zostało wyczerpane w ciągu kilku miesięcy. Stanowi to — w naszych warunkach rynku księgarskiego — rekord powodzenia rozprawy ekonomicznej, oparty w danym wypadku na sensacyjności pracy dr. Bernadzikiewicza.

Jak czytamy w przedmowie do drugiego wydania, „Przerosty" wywołały ożywioną polemikę, idącą w dziesiątki artykułów i notatek, które ukazywały się zarówno w prasie codziennej, jak i w czasopismach fachowych. Polemika ta była niekiedy bardzo ostra, bowiem „Przerosty etatyzmu", oparte na materiałach Najwyższej Izby Kontroli Państwa, których wiarogodności nie można było zaprzeczyć lub kwestionować, musiały wywołać i wywołały istotnie duże niezadowolenie wśród zwolenników utrzymania obecnego stanu rzeczy w naszej gospodarce państwowej. Książka udokumentowana materiałem niespornym okazała się niezmiernie niewygodną i tem należy tłumaczyć, iż reakcja jej przeciwników była w tak przeważającym stopniu oparta na czynniku emocjonalnym.

W porównaniu z I-em wydaniem znajdujemy w pracy d-ra Bernadzikiewicza dość znaczne zmiany. Przedewszystkiem książka została bardzo starannie przejrzana i w wielu miejscach poprawiona. Powtóre II-ie wydanie zostało zaktualizowane przez uwzględnienie danych zawartych w ostatniem sprawozdaniu Kontroli Państwowej z czynności kontroli dokonanych w okresie budżetowym 1934/35 oraz w uwagach Kontroli Państwowej o zamknięciach rachunków

państwa i wykonaniu budżetu za r. 1933/34, jak również innych materiałów zebranych w okresie 1935/36, a które w chwili pisania I-go wydania „Przerostów” jeszcze nie istniały, bądź też nie były dla autora dostępne. Wreszcie praca została uzupełniona przez zamieszczenie w formie dodatku „małej” bibliografii etatyzmu w zakresie literatury polskiej. Przytoczenie tej ostatniej wydaje się szczególnie cennem z uwagi na zupełny brak w naszej literaturze ekonomicznej tego rodzaju zestawienia.

Aby wyrobić sobie zdanie o zakresie pracy dr. Bernadzikiewicza, wystarczy przytoczyć „spis rzeczy”, który obejmuje: przedmowę do II i I wydania, Rozdział I — Państwo-przedsiębiorca, Rozdział II — Przedsiębiorstwa państwowe w Polsce, Rozdział III—Przerosty etatyzmu, Rozdział IV—Uprzywilejowanie przedsiębiorstw państwowych, Rozdział V—Wyniki bilansowe, Rozdział VI—Wyniki skarbowe, Rozdział VII Planowość w gospodarce państwowej, Rozdział VIII — Biurokracja w przedsiębiorstwach państwowych, Rozdział IX — Niepraworządność przedsiębiorstw państwowych, Rozdział X Zakończenie, Dodatek—bibliografia etatyzmu.

Kwestia niedomagań i nieustannego rozrostu gospodarki etatystycznej—to zagadnienie „wiecznie żywe” w polskiem gospodarstwie narodowem.

Książka dr. Bernadzikiewicza o „przerostach etatyzmu” ukazuje się właśnie w tym czasie, gdy prace Komisji powołanej przez rząd dla zbadania gospodarki przedsiębiorstw państwowych zaczynają wchodzić w okres decydujący. Zwiększa to jeszcze aktualność wydawnictwa.

NAUKA SIR HUDSONA LOWE

ISTNIEJE w bibljografii polskiej pozycja taka: „Pamiętnik Sir Hudsona Lowe”, gubernatora wyspy Św. Heleny, tyczący się pobytu Napoleona na tejże wyspie. Tłumaczenie z francuskiego przez J. K., Wilno, drukarnia A. Marcinowskiego, 1840. Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu egzemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno, 1849 roku 17 lutego. Cenzor, sowietnik wileńskiej Medyko-Chirurgicznej Akademii, Jan Waszkiewicz.

W rozdziale I tej książki na str. 3 czytamy:

„Uznaję się być winnym, iż wierny powołaniu i obowiązkom moim, zanadto skrupulatnie wykonywałem dawane mi przepisy i rozkazy mej władzy, a zwłaszcza, jakie mi udzielał Gabinet Angielski. Że wszech stron powstały głosy, żem był dozorcą okrutnym więzienia Napoleona; obwinienie całej prawie Europy ciążyło nademną; to mię ścigało aż po odległe Oceanu granice; to łączyło się z imieniem mojem, aby w potomności nierozłącznym było jego towarzyszem; to uczyniło mię znajomym światu całemu, chociaż duch Napoleona już znikł z tej ziemi, chociaż moc czasu przyćmiła blask świetnych pamiątek jego, ja zawsze, jak cień przeklęty, nieodstępny jestem osoby jego — Napoleon wszędzie jest ze mną — i ja zapomnieć o nim nie mogę”.

W konkluzji zaś rozdz. XXIII:

„Gdy wszystko już swój koniec wzięło na wyspie Św. Heleny, na ten czas wierni towarzysze wygnania Napoleona-z smutkiem w sercu, przejęci boleścią, niezwłocznie wszyscy powrócili do Europy.

Ja zaś także, stanąwszy u kresu spełniania dalej obowiązków moich na wyspie, chcąc oraz sam osobiście donieść o śmierci Napoleona, jak również zdać sprawę z posłanictwa mojego Gabinetowi Angielskiemu, udałem się do stolicy Anglji. Na drugi dzień wylądowania mojego stanąłem w Windsor, prosząc o posłuchanie u króla.

Tak ściśle i wiernie wykonywając rozkazy, dawane mi względem osoby Napoleona, powinienem był spodziewać się, że wszelką otoczony powagą, będę używał zaszczytu i pamięci Gabinetu Wielkiej Brytanji. Lecz skutek inaczej okazał.. — Nie byłem już użyteczny — i Napoleon żyć przestał. — To zaś, com wypełniał, na mnie jednego powszechną zwróciło pogardę. Skoro tylko dowiedziano się w przedpokojach królewskich, gdzie oczekiwałem na pozwolenie przesłuchania, kto byłem, natychmiast tłumy ludzi mnie otaczających, cofnęły się z przestrachem, utworzyły nieznacznie obszerny krąg pusty około mnie i wkrótce sam tylko jeden zostałem w pokojach. Nie długo oczekując, odebrałem wiadomość, że król widzieć mię nie chce, i że zdawać sprawę z czynności moich przed tym będę obowiązany, który za trzy dni przez parlament do wysłuchania mię wyznaczonym zostanie”.

Niewątpliwie książką p. H. Lowe powinni się interesować wszyscy gorliwi gubernatorzy i komendanci obozów deportacyjnych, twierdz i wogóle więzień politycznych. Ciekawe byłoby zestawienie ich pamiętników.

RUCH WYDAWNICZY

Piotr Ponisz. „Kościół a Naród i Państwo”. Poznań 1936, str. 36.

Rozróżnienie to i przeciwieństwo rodem ponoć z XIX wieku jeszcze, nie do pomyślenia w najmłodszem pokoleniu, wyrosłem w atmosferze obozowej i niekłamanie religijnej. Czas osądzi, czy podszepty, płynące z katechizmu... i z instrukcji piechoty nie okażą się najwłaściwsze przy rozwiązywaniu zawiłych kwestyj, jakie wciąż nasuwa życie w zespole?..

Wracając do przedmiotu autor... na przykładzie broszurki polemicznej p. Konrada Górskiego, występującego niekiedy w uniformie katolickiego publicysty, demonstruje ową, charakterystyczną dla zeszłowiecznych liberałów, niezgodność integralnej katolickości ze światopoglądem nacjonalistycznym, niechęć, przesadną chyba w swej gorliwości.

Więcej w tem ducha „pobielanych grobów”, sekciarskiej wyłączności, niż prawdziwej wiary i szczerej chęci przysłużenia się sprawie Kościoła.

Epoka ciasnego monopolu na tak zw. „patentowany” katolicyzm należy do przeszłości. Miejmy nadzieję, że społeczeństwo do tego stopnia się uchrześcijaniło, iż całe poczuwa się do zabierania głosu w sprawach religii i Kościoła. Dlatego nie chce sztucznych podziałów na narodowców i katolików. Narodowcy są takimi samymi wyznawcami wiary Chrystusowej, jak i członkowie oficjalnych organizacyj kościelnych.

A, *nota bene* w błogiem cieple niejednego wirydarzyka niepostrzeżenie nieraz wyrasta taki, ot, sobie masoński słonecznik i bruździ potem, zamęt sieje.

Komuż na rękę idzie? Czyjej sprawie?..

O tem wszystkiem poucza książeczka p. Ponisza, dostarczając wiele materiału do żywej dyskusji na aktualne tematy. Pisana świetnym językiem, zdradza rasowego, pełnego temperamentu polemistę. Słusznie godzi pośrednio w świeckich rabinów, uzurpujących sobie prawo wyrokowania w kwestiach, gdzie każdy nie duchowny jest jednakowym laikiem. (es.)

•

Gustawa Jarecka. „Stare grzechy”. Powieść. Warszawa. F. Hoesick.

Akcja powieści rozgrywa się w małem mieście i ukazuje szereg trafnie zarysowanych postaci z życia robotników, rodziny fabrykanta i kilku osób z inteligencji. Dialog płynie wartko, atmosfera pracy i życia domowego oddana jest wiernie, w licznych zgrabnie ujętych i związanych całością scenach. Powieść skomponowana jest poprawnie. Czyta się ją z ciekawością.

Nie to jednak jest, a raczej mogłoby być wartością książki. Rzecz dzieje się na Pomorzu, za Niemców, i niepodległej Polski, lecz cechy regionalne czy polityczne nastroje ludności zupełnie nie są przez autorkę rozwinięte. Zaledwie, niekiedy jakieś słowo niemieckie lub gwary ludowej polsko-niemieckiej, zaznacza czas i tło powieści.

A szkoda. (A. W.)

•

Ferdynand Antoni Ossendowski. „Huculszczyzna”. Wydawn. Polskie R. Wegenera. Poznań, 1936.

Każda książka Ossendowskiego z cyklu „Lud Polski”, ukazuje piękno przyrody danej połaci kraju i pomniki jego przyrody. Nowa książka, poczynając od wielobarwnej okładki Kazimierza Sichulskiego, i olbrzymiego regestru artystycznych ilustracyj układu Jana Kilarskiego mówi o tym „słonecznym kraju”, przypominając rolę cywilizacyjną dawnej Polski.

Krajobrazy dzikie i czarodziejsko piękne, doliny Kosmackiej i Czarnego Czeremoszu, uskoki Gorganów i Beskidów Huculskich, zasobne w ropę naftową, gazy, wosk ziemny, sól, rudy galenitu, zawierającego srebro, pokłady żelaza i piasku dla hut szklanych, strojne są w puszcze i lasy, rzeki, burzliwe potoki i wodospady. Szmat ziemi bogaty, wspaniały, a przez niegospodarkę austriackiego zaboru zaniedbany, niedostępny. Góry, ich szczyty z gniazdami orłów, przełęcze i przepaście, tak jak i ich dźwięczne nazwy, wywołują wrażenie pierwotnej świeżości, nowe, fantastyczne. Ze schroniska u źródeł Świcy i innych schronisk pobudowanych, przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie wędrowiec zapuszcza się w Nieznane.

Ossendowski sporo lat przebył we wschodniej Azji' zwiedził Afrykę i południową Amerykę, przyrodnik, myśliwy' geograf, geolog i etnograf, uwydatnia swymi opisami całość przedmiotu.

„Huculszczyzna", od pierwszych kartek magią słowa, poparto wiedzą naukową, opanowuje wyobraźnię czytelnika. Tło, lud, jego mowa, religia, legendy, rolnictwo, przemysł, wszystko to opowiedziane suggestywnym stylem, tak jak dziś jest i jak było, z perspektywą przeszłości. Zakładali miasta, budowali kościoły, cerkwie i zamki panowie polscy, Polacy, Potoccy, Lanckorońscy, Kossakowscy, a po upadku Rzeczypospolitej lud tej części kraju pozostał bez dawnej cywilizacyjnej opieki. Pijaństwo i pieniactwo oddało Hucułów pod wpływ ciemnoty Wschodu i ekonomicznego wyzysku żydów tak dalece, że po latach osobne ustawy powstrzymywały uprawianie sprzedaży karczmarzom chaty i gruntu za wódkę.

Co zostało, to koloryt i wdzięk malarski, żywiołowy, ciekawy. Koloryt przyrody i osiedli ludzkich, szat, sprzętów, zdobnictwa, co przybywającym w te strony pisarzom i malarzom daje ich pracy twórczej natchnienie, osnute melancholią. (A. W.)

*

Maria Dąbrowska. „Szkiełko". Biblioteczka Nowel. Warszawa 1936. Tow. Wydawnicze.

Utalentowana pisarka każdy temat potrafi interesująco opracować. W tym razie zamiar zawiódł. Nowela „Szkiełko" opowiada o zdarzeniu młodego socjalisty, Marcina Śniadowskiego, prowadzącego „robotę" w związku z socjalistyczną partią w Rosji, na terenie „ukraińskim" i z socjalistami w Niemczech. Historyjka o omyłce śledztwa, w którem bohater noweli, przebywając w areszcie, zręcznie wyplątał się z sieci żandarmskich podejrzeń. A „szkiełko" starannie przechowywane, dodawało więźniowi nie mało hartu, gdyż mogło mu pomóc do dokonania samobójstwa przed ewentualnem wymuszeniem zeznań, przed „wsypą".

Autorka jest osobą młodą. Opowieści z ery wypadków rewolucji socjalistycznej w r. 1906 i „Krwawej środy" nie wysnuła z przeżyć osobistych, ale z drugiej ręki, i w materiale i tonie oparła swą nowelę żywcem o utwory, znacznie artystycznie ciekawsze, Żeromskiego, Daniłowskiego, Struga. Pocóż więc?...

Także jeszcze trudniej zgadnąć, niewiadomo dlaczego „Szkiełko", jak to uwidocznione jest grubym drukiem na wnętrzu okładki, zostało zatwierdzone i polecone przez ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego do lektury i to obowiązującej w szkole dla uczniów klasy IV.

(A. W.)

*

Zygmunt Zbaraski. „Zemsta Judy czyli Rewolucja Hiszpańska". Str. 16. Skład główny: Spółdzielnia Wydawnicza „Sprawa", Złota 30 m 37. Księgarnia Alfons Prabucki i Aleksander Płocha, Warszawa, Miodowa 1.

Popularna broszurka, dająca początek dłuższej serii podobnych, w treściwej, zwięzłej formie podaje przegląd najważniejszych wynarzeń na półwyspie Iberyjskim, poprzedzających bolszewicki zamach na katolicką Hiszpanię.

Z kim walczą narodowcy generała Franco, niech tutaj służy informacją bilans 54 miesięcy republiki hiszpańskiej (od wyborów w 1931 r. do wyborów w r. 1936): 2 parlamenty, 26 kryzysów ministerialnych, 65 ministrów, 17 partii, kolejno dochodzących do władzy, 1 rewolucja (2,500 zabitych), 7 puczów, 9,000 poszkodowanych, 5 odroczeń budżetu, wydatki zwiększone o 2 miliardy pesetów, 1,000 rad miejskich awieszonych, 114 dzienników zakazanych, 2 i pół lat stanu wyjątkowego, spalone Oviedo, 80,000 zniszczonych tomów bibliotecznych, 200 kościołów spalonych.

Narodowcy w niedługim rozrachunku doliczą jeszcze ogromną litanię okrucieństw i nieartykułowanych grymasów barbarzyństwa (z zamordowaniem Caldo Sotelo na pierwszem miejscu). jakiemi komuniści w ostatnich miesiącach obciążyli swoje—i tak już zbyt zabazgrane—konto. (es.)

MUZYKA

FILHARMONIA. Zwracałem już niegdyś uwagę na wadliwą nieraz kompozycję wieczorów filharmonicznych, ostatni jednak pobił chyba wszystkie inne nieumiejętnem zestawieniem granych utworów. Najpierw Bach, potem Schubert, potem Saint-Saëns, potem doprawdy ni z tego, ni z owego Różycki, potem jeszcze Ravel i jeszcze Zador... długi sznur źle dobranych—jakby tu powiedzieć?—pereł... (Pereł?—przesada).

Przedewszystkiem: Magda Tagliafero wybrała blady koncert fortepianowy Saint-Saënsa. Jak miałem możność zauważyć, kobiecy to gust. Jest w tem coś z... Poczynam rozumieć — wstawienie między koncert a ravelowską „*Ma mère l'Oye*" poematu Ludomira Różyckiego było świadectwem taktu i dobrego wychowania dyrekcji. Trudna jest jeduak kompozycja wieczoru... Przyznaję.

Odtwarzanie „Anhellego" (dyktowane zapewne głosem wewnętrznego obowiązku natury patriotycznej), czy innego poematu jednej z nadziei Młodej Polski, każe zawsze westchnąć piszącemu do tamtych czasów, kiedy to „mistrz Ludomir..." (tak się mówi?). W westchnieniu tem kryje się jakby uporczywe a niepotrzebne zupełnie: „Może jednak jeszcze..." Czas już najwyższy przestać się łudzić. Żadnego ciepła w głosie! I żadnych bezsensownych zestawień. Chcielibyśmy wszyscy inaczej. Jeszcze jak chcieli!—Zawód trudno wybaczyć.

Mamy szacunek dla Karłowicza. Cieszymy się Szymanowskim. Nie mamy najmniejszego nawet żalu do Fitelberga, że skrzydeł nie rozwinął. Nie czujemy żalu i do Apolinarego Szeluto—twardy wyraz „trudno" wiele nam przecież tłumaczy. Ale spadek inwencji i ambicyj twórczych Różyckiego jest nadzwyczaj przykry. Nawet pisać o tem niełatwo.

Orkiestra pod batutą Niliusa wykonała Bacha „Koncert brandenburski" i Schuberta „Niedokończoną symfonię" *h-moll*. Były to bez kwestii najciekawsze punkty wieczoru.

W. NARUSZ

NOWE KSIĄŻKI

Szczepkowski Jan. Na drogach ku wolnej Polsce. Warsz. 1937. Skład główn. w księg. Prabucki i Płocha. Str. 115.

Verbum. Kwartalnik. Warszawa 1936. III.

Bonczyk Norbert. Stary kościół Miechowski. Wyd. IV krytyczne. Opracował Winc. Ogrodziński. Katowice 1936. Wyd. Instytutu Śląskiego. Skład w Kasie im. Mianowskiego. Str. LXXX i 266.

Olszewicz Bol. Najdawniejsze opisy geograficzne Śląska. Katowice 1936. Skład gł. w Naszej Księg. Warsz. Str. 65.

Glixelli Stefan. W trzecią rocznicę zwinięcia 52 katedr w szkołach akad. Lwów 1936. Dom Książki Polsk. Str. 16.

Maykowska Maria. Klasyczna teoria wymowy. Warsz. 1936. Kasa im. Mianowskiego. Str. 89.

Friedbergowa Maria. Bibliografia bibliografii i bibliotekarstwa za rok 1934. Kraków 1936. Str. 32.

Decaux Lucile. Prawdziwa miłość Napoleona. Powieść. Warsz. 1937. „Płomień".

POKŁOSIE

NASZE MIEJSCE WŚRÓD NARODÓW

JEŻELI dodamy miliardy, utopione przez Francję w Rosji przedwojennej, jeszcze liczniejsze miliardy, wydane przez nią na obronę w wielkiej wojnie, dwa miliony poległych, nowe miliardy na linię Maginot'a, to będziemy mieli cenę materialną, jaką Francja zapłaciła i płaci dalej za obraną przez się drogę „wygodnego życia", ujawniającą się w praktykowanem od wielu lat dziesiątków ograniczaniu potomstwa. Bo gdyby nie zastój w liczbie ludności, który od połowy ubiegłego wieku zmienił zasadniczo stosunek sił od wschodniego sąsiada i uczynił z pięknej, a mało zaludnionej krainy francuskiej przedmiot cudzych pożądań i nadał tym apetytom prawdopodobieństwo łatwego zaspokojenia — to Francuzi mogliby spać znacznie spokojniej i nie potrzebowaliby krwawić w ciężkich wojnach obronnych.

Gdy się ten przykład ma przed oczami, to rozważania demograficzne, z jakimi obecnie można się coraz częściej spotkać w publicystyce wszystkich krajów, nabierają praktycznego znaczenia. Dobrze jest więc zwrócić uwagę na ostatni tom „Statystyki Polski" w którym Gł, Urz. Statystyczny zebrał szereg rozpraw z dziedziny demograficznych zagadnień Polski. Przytoczmy kilka danych i zasadnicze wnioski o demograficznym potencjale naszego kraju, sformułowane przez p. Stefana Szulca, naczelnika wydziału statystyki ludności.

Jak przedstawia się obecnie rozwój liczebny narodów europejskich i jakie w tym zajmuje miejsce Polska?

Do niedawna cała Europa z wyjątkiem Francji znajdowała się w stadjum bardzo silnego wzrostu ludności, lecz w ostatnim pietnastoleciu zaszła prawdziwa rewolucja na tym polu, nie zupełnie jeszcze widoczna dla laika, zwracającego uwagę tylko na różnicę między liczbą urodzeń i zgonów i zadowolonego, jeżeli urodzenia przeważają, lecz mimo to niosąca groźne niebezpieczeństwo na przyszłość. Liczba urodzeń przewyższa jeszcze liczbę zgonów, lecz wynika to z bogatego dziedzictwa, jakie nasze czasy otrzymały po poprzednich dziesiątkach lat pełnego rozwoju: dzisiejszy skład narodów jest szczególnie pomyślny, gdyż obfituje w bardzo silne liczbowo roczniki, będące w wieku rozrodczym; gdy te roczniki za lat 20-30 postarzeją się i zaczną wymierać — okaże się wówczas, że dzisiejsza płodność jest niewystarczająca do utrzymania niezmniejszonej liczebności i że wiele narodów, mimo że ma jeszcze przewyżkę urodzin nad zgonami, żyje od pewnego już czasu w okresie deficytu ludnościowego.

Dzisiejsza demografia w ocenie stanu danego narodu nie opiera się na surowych liczbach urodzeń i zgonów, gdyż te mogą być złudne i wynikać z okoliczności wyjątkowych. Właściwą miarą jest tzw. spółczynnik reprodukcji, czyli stosunek między liczebnością dwóch następujących po sobie pokoleń, obliczany na podstawie istniejącej w danym narodzie w danym momencie płodności kobiet i wymieralności ogólnej. Jeżeli pokolenie młodsze jest liczniejsze od poprzedniego, a więc współczynnik reprodukcji większy od jedności, to naród rośnie jeżeli nie to maleje, chociaż tego na razie może nie być widać.

Otóż obecnie w Europie tylko jej część wschodnia wraz z Polską i południowe półwyspy (Bałkany, Włochy, Hiszpania) mają ten współczynnik większy od jedności; na zachodzie jeszcze tylko Belgia, Holandia i Irlandia. Natomiast całe centrum, zachód i północ ma już współczynnik deficytowy. Przyczem teren najgorszych pod tym względem stosunków obejmuje właśnie samo centrum, Niemcy i Czechy właściwe.

Przewidywania na dalszą przyszłość są oczywiście złudne, gdyż wiele rzeczy może się zmienić, ale miarą dzisiejszego stanu może być fakt, że gdyby stan ten trwał niezmiennie, to przy dzisiejszym współczynniku reprodukcji Niemcy po 100 latach miałyby tylko trzecią część dzisiejszej ludności, Czechy straciłyby w tym czasie 61%, a Francja 27% ludności, Francja jak widzimy jest w nieco nawet korzystniejszem położeniu, a to dlatego, że spadek urodzeń w Niemczech i Czechach (bez Rusi Podkarpackiej) był w ostatnich latach znacznie gwałtowniejszy, niż u Francuzów. Najgorsze stosunki wykazują wielkie miasta: według dzisiejszej miary w Berlinie, Dreznie, Lipsku, Sztokholmie pozostałoby po 100 latach zaledwie 3% dzisiejszej ludności, a Wiedeń zeszedłby do rzędu miasta kilkutysięcznego.

Jak się dzieje w Polsce? Mamy jeszcze duży tzw. surowy przyrost naturalny, tzn. przewyżkę urodzin nad zgonami. Ale ów współczynnik reprodukcji spadł u nas w ostatnich latach bardzo silnie. Przed 40 laty wynosił on 1,65, co dałoby teoretyczną podwyżkę ludności po 100 latach o 422%, a więc pięciokrotny wzrost ludności; w r. 1927/28 wynosił już tylko 1,303, co równoznaczne jest z wzrostem ludności 136% w ciągu 100 lat, a w r. 1934 mamy współczynnik tylko 1,114. Jak widzimy jest on już bardzo bliski jedności, a więc wzrost ludności jest bliski zahamowania. Dziś jeszcze stosunki nie są najgorsze: przy takim współczynniku mamy jeszcze prawdziwy przyrost ludności taki, że wciągu 100 lat powiększyliśmy się jeszcze o 44%, czyli doszlibyśmy do 50 milionów,

Niebezpieczeństwo polega na tym, że spadek płodności o 10% procent już wywoła deficyt, a płodność ta spadła u nas od 1927 do 1934 roku o 23%.

Polepszyć współczynnik można albo przez wzmożenie płodności, albo też przez zmniejszenie umieralności, zwłaszcza u niemowląt i małych dzieci, która jest u nas wciąż jeszcze bardzo duża. Ale wzrost płodności jest ważniejszy i donioślejszy. A co można w tym kierunku zrobić dały dowód Niemcy, które w ostatnich dwóch latach wykazały olbrzymi wzrost urodzeń. Alarmy tamtejszych statystyków podziałały.

U nas można przewidywać, że spory przyrost naturalny będzie jeszcze jakiś czas, może nawet dłuższy czas trwał, ale nie możemy rozwojowi stosunków przyglądać się beztrosko: te tylko 10% procent płodności, które dzieli nas od deficytu powinno budzić czujność. Żeby się utrzymać i zająć lepsze miejsce w Europie musimy być liczniejsi, to chyba nie ulega wątpliwości. ARGUS

NA MARGINESIE

W Akademii Literatury zawrzało. Rzymowski broni swego prawa przepisywania z cudzych książek. Przesmycki ściga sądownie tych, którzy mu odmawiają prawa do Norwida. Utrzymuje, powołując się na ekspertów, że w wydaniu Piniego odnaleźć można conajmniej dziesięć przecinków, które on wymyślił. Sieroszewski ściga kryminalnie tych, którzy mu odmawiają prawa apoteozowania Berezy, jednocześnie świadczy w sądzie wraz z Rzymowskim, że Związek Nauczycieli ma prawo krzewić komunizm, podpalając kraj „płomykiem".

Ach, ci dostojni, prawi i sprawiedliwi mężowie powołani są słusznie na patronów literatury, rozdających wawrzyny!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM